

# BLUSZCZ

*Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy*

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 26 PAŹDZIERNIKA 1929 ROKU

NR. 45

TREŚĆ NUMERU: Racjonalne zasady oszczędności — N. J. Pokutujące Magdaleny — Z. M. Poezje: „Ty jesteś jak obraz” — *Sabina Raciążkówna*. Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Przystosowanie — *M. H. Szpyrkówna*. Po śmierci ś. p. Jacka Malezewskiego — *J. Wszechwładza* stylowej brzydoty (dok.) — *Stanisław Machniewicz*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *Herminja Naglerowa*. Kobieta w świecie i w domu. Placówki gospodarcze dla kobiet — *M. Karczevska*. Rozumna oszczędność w gospodarstwie domowym — *Pani Elżbieta*. Stroszka (dok.) — *Prof. Feliks Teodorowicz*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Modne kolory — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — *R. Hichens*. Tablica kroju.

## RACJONALNE ZASADY OSZCZĘDNOŚCI

Propagowanie oszczędności nie jest wdzięcznym zadaniem, aczkolwiek jest niezbędne.

Piękna ta cnota bowiem niezmiernie jest podobna do kobiety, rozumnej, gospodarnej i bardzo dobrej, ale... nieładnej i zewnętrznie mało uroczej.

Skutki racjonalnej oszczędności są tak dobroczynne, jak niewielu zapewne ludzi zdaje sobie dokładnie sprawę; ale początki jej są bardzo trudne i często nawet tak długo nie zdają się zapowiadać pomyślnego rezultatu, jak długo stromy szczyt górski wydaje się strudzonemu taternikowi odległym o całe kilometry, aby potem, odrazu prawie okazać się zdobytym i wynagrodzić zmęczenie i wysiłek cudowną czystością oddechu i wspaniałą panoramą.

Oszczędność trudno jest propagować głównie dla dwóch powodów: że istota jej często źle jest rozumiana, a praktyka prowadzona nieracjonalnie. Zbyt wiele osób jako oszczędzanie rozumie poprostu wydawanie na wszystko jaknajmniej pieniędzy — za czem już o krok idzie zwykle skąpstwo. Oszczędzanie na jakości nabytych przedmiotów, ograniczanie do minimum potrzeb, oszczędzanie na pożywieniu, ubraniu, rozrywkach kulturalnych, umysłowych — to wszystko nie jest oszczędność racjonalna.

Ten sam system odbija się wielokrotnie nietylko w życiu prywatnym, ale i w prowadzeniu handlu i przedsiębiorstw, ba! niektórzy pragnęliby zastosować go i do życia państwowego. Ileż to razy słyszemy oburzenie na różne uroczystości i wydatki reprezentacyjne, że to są zbytki, na które nie stać naszego, z trudem organizującego swój byt, kraju.

Takie jednak oszczędności są niewskazane. Ambasador — przedstawiciel państwa, nie może oszczę-

dzać na fraku i automobilu; kupiec i przemysłowiec zgubi swój interes, jeśli dawać będzie marny towar, ograniczać nierozumnie koszty produkcji, lokalu, wynagrodzenia pracowników, lub uczciwej reklamy; rodzina wieść będzie marne życie, jeśli będzie źle żywiona i niedostatecznie ubrana, a rozwój umysłowy, wykształcenie i karjera dzieci ucierpi, jeśli dzieci te nie będą miały choć trochę rozrywki i kulturalnych ram życia.

Na tych wszystkich rzeczach oszczędzać nie należy. I dlatego mijamy się tak często z akcją oszczędnościową i mamy przeciwko niej liczne zarzuty. Krytyką zaś, stosowaną w imię oszczędności do wszelkich szerszych poczynań, zarówno prywatnych, jak i publicznych, roznosimy niezadowolienie i defetyzm.

Oszczędność bowiem polega nie na ograniczaniu każdej rzeczy, ale na racjonalnym jej nabyciu i dobrem wykorzystaniu, wreszcie na takim ułożeniu budżetu wydatków, aby zawsze jakaś choćby drobna suma pozostała z tego budżetu do zaoszczędzenia, bez uszczerbku istotnych potrzeb życiowych.

I dlatego oszczędzanie łatwe jest dla narodów, mających dobrą produkcję i dostateczne zarobki; dlatego właśnie trudnym jest ono w Polsce, gdzie od dawna kręciło się, potrochu we wszystkim, bicz z piasku i gdzie do dziś dnia robi się jeszcze wiele rzeczy w ten sam sposób.

Racjonalna oszczędność trudna jest jeszcze i dlatego, że po wojnie podniosła się niezmiernie stopa życia, a w czasach nieustabilizowanej waluty przyzwyczailiśmy się do absolutnego już niestosowania wydatków do dochodów — do życia bez budżetu. Jak bowiem mógł go ułożyć np. urzędnik, nau-



czyciel, lekarz, czy jakikolwiek pracownik, jeśli jednego miesiąca otrzymywał pensję i dochody w dziesiątkach, drugiego w setkach tysięcy, a trzeciego już w milionach? Jak dbać mógł o dobroć swych towarów kupiec lub przemysłowiec, zarabiający suto właśnie na niesprzedawaniu swoich wytworów? I jak mogli myśleć o oszczędzaniu ludzie, zarabiający nieprawdopodobne sumy na akcjach — a tacy znajdowali się wszędzie, w każdym zawodzie, zarówno wśród inteligencji, jak i handlarzy ulicznych.

Czasy te minęły, rzecz prosta. Nie pozostały jednak bez wpływu: pozostawiły do dziś dnia, niestety, mętny osad, występujący pod różnymi postaciami, jak dorywczość, sztukowanie, nierównomierność wydatków w różnych rubrykach w budżecie prywatnym, niedoskonałość produkcji i brak silnych podstaw finansowych w handlu i przemyśle.

Wszystko to przeczy systemowi racjonalnej oszczędności i utrudnia go.

Dołącza się jeszcze do tego klęska mieszkaniowa — nieprawdopodobne ceny lokali. Jak bowiem może myśleć o oszczędzaniu człowiek, choćby samotny, zarabiający np. 500 zł. miesięcznie, a płacący 100 lub więcej złotych za odnajęty pokój?

A jednak musimy nauczyć się oszczędzać.

Że to jest możliwe, wskazuje nam przykład innych narodów, które także przeszły wojenne i powojenne trudne warunki, a których oszczędności wykazują, pomimo to, bardzo poważne sumy. Na pierwszym miejscu stoją tu Włochy, których wkłady w różnych instytucjach oszczędnościowych wynosiły w r. 1928 — 25.866 milionów lirów, dalej Czechosłowacja — 16.891 milj. koron, Francja — 8.318 milj. franków (suma, jak na znaną oszczędność francuzów, minimalna, spowodowana panującą w tym czasie inflacją i nieustabilizowaniem franka), Niemcy — 6.988 milj. marek (naród, który przegrał wojnę i był w ciężkich warunkach finansowych); wreszcie i w Polsce oszczędność nie jest już mytem. Kasy oszczędnościowe państwowe i komunalne, instytucje współdzielcze i banki wykazały za rok ubiegły półtora miljarda złotych wkładów oszczędnościowych.

Oszczędzamy więc już i dalej robić to musimy; chodzi tylko o stworzenie racjonalnych i trwałych podstaw tej zasadzie.

Naturalnie, że pierwszym wskazaniem jest bezwzględne zastosowanie się do swego budżetu — rzecz najtrudniejsza, lecz konieczna. Rodzina, rozporządzająca dochodem paru lub nawet (jeśli jest liczniejsza) kilkuset złotych miesięcznie, nie może odkładać poważniejszych sum. Nie może również stosować się do wykwintnej stopy życia w ubraniu, jedzeniu i rozrywkach. Tu właśnie jest problemat niełatwy: rozłożenia wydatków tak, aby zaspokojone były podstawowe potrzeby życiowe, duchowe i materialne, i żeby jeszcze jakaś część została do odłożenia.

I tu właśnie trzeba zdać sobie sprawę z tego,

że nawet drobna suma, ale stale odkładana, może z początku wydawać się brakiem, lecz w przyszłości oprocentuje się znakomicie.

Pozatem zaś, stałem i konsekwentnem dążeniem naszym powinno być takie ułożenie dochodów, aby naprawdę **było z czego** odkładać, a więc dążenie do zwiększenia zarobków, jak to również jest wszędzie w dobrze zorganizowanych społeczeństwach.

Przed wojną, w Polsce zwłaszcza, wystarczał przeważnie na utrzymanie rodziny zarobek męża, dziś w większości wypadków już nie wystarcza, i dopomagać musi żona. Dyskutowano już wielokrotnie na tem samym miejscu na temat racjonalności zarobków kobiety zamężnej, życie jednak przechodzi do porządku dziennego nad dyskusjami, a kobieta zamężna pracować zwykle musi. Inna rzecz, że w tej pracy nie powinna trzymać się szablonu, zajęć biurowych, a stosować jaknajszerszą inicjatywę w tworzeniu nowych gałęzi zarobków i przysparzaniu dochodów — choćby, jak to robi już wiele kobiet mieszkających w miastach prowincjonalnych, utrzymywanie ogrodu, którego produkty, nawet na własny tylko, domowy użytek hodowane, stanowią ważną rubrykę oszczędności i umożliwiają higienę odżywiania jarzynami i zawsze zadrogiemi dla skromnych budżetów, owocami.

Drugim, równie ważnem wskazaniem jest krzewienie oszczędności wśród młodzieży. Tu znów choćby niewielki, zaoszczędzony kapitalik umożliwi młodemu człowiekowi rozpoczęcie pracy z czemś. Młodzież zaś, gdy tylko dobrze jest zorientowana w tym kierunku, oszczędza chętnie i oszczędza łatwo. Dowodem tego są sumy, składane na szkolne książeczki oszczędnościowe, przez dzieci bardzo nawet niezamożne.

I wreszcie, jeśli chcemy istotnie umożliwić sobie życie rozchodu z przychodem w zgodzie i budżetową nadwyżkę, musimy załatwić sprawę mieszkaniową. Nie może bowiem zostać zrównoważony budżet, którego trzecią część, lub nawet często połowę pochłania opłacenie dachu nad głową i to jeszcze takiego, który często uniemożliwia zupełnie unormowanie wydatków, zmuszając do kosztownego jadaenia na mieście i innych w tym rodzaju rozchodów.

Wszystko to nie są sprawy łatwe, niemniej jednak dokonać tego trzeba. Budowanie domów spółdzielczych (tu znów każda suma, choć z trudem oszczędzona, stanowić będzie stuprocentowy dorobek, dając nam o połowę tańszy lokal), zwiększenie zarobków, przy stosowaniu jaknajszerszej inicjatywy w ich rodzajach, i wpajanie w młodzież zasady zebrania drobnego choćby kapitału dla rozpoczęcia życia z materialnym plusem.

Stosując konsekwentnie te zasady, nie będziemy zmuszeni do ograniczania koniecznych potrzeb życiowych i znajdziemy zawsze w budżecie nadwyżkę do odłożenia.

N. J.



## POKUTUJĄCE MAGDALENY

W ciemnych zaułkach wielkich miast, na odległych peryferjach, wszędzie, gdzie panuje wielka nędza, a jeszcze większa ciemnota — lęgnie się jedna z najstraszniejszych zbrodni, jaką człowiek może popełnić w stosunku do innego człowieka: zbrodnia dzieciobójstwa.

Nie wyrasta ona powoli z serca, jak gad, wytworzony i wyhodowany przez złe myśli; nie obmyśla środków obrony, ani momentu czynu powoli i systematycznie, lecz wybucha nagle i niespodziewanie, jako odnalezienie jedyne go wyjścia z labiryntu grzechu i upadku. Wydaje się im — tym nieszczęśliwym i najsamotniejszym — że z unicestwieniem grzechu, któremu jest na imię Dziecko, przepadnie raz na zawsze wszelki zły los, z tym grzechem związany.

Ale jakże niezrozumiałą jest droga oczyszczenia, gdy zniszczenie tamtego grzechu prowadzi do grzechu Śmierci! I ci, którzy przedtem obrzucali kamieniami pogardy kobietę za jej nielegalne macierzyństwo, dziś stawiają ją przed sądem, wołając: „zabiła! wyrodna matka, zabiła dziecko swoje!“

Ten zwrot „wyrodna matka“ — jest probierzem sądzenia czynów kobiety, wyrzuconej poza rodzinę i poza społeczeństwo faktem macierzyństwa. Niema, a w każdym razie rzadko się spotyka w naszym języku pogardy i poniżenia zwrot „wyrodny ojciec“. Ojcostwo, widocznie, nie pociąga za sobą żadnych obowiązków serca — „wyrodna matka!“ krzyczy natomiast wielkimi głoskami z każdej gazety, z każdego świstka brukowego i mimowoli nasuwa pytanie, czy ta, tak bardzo paląca kwestja nigdy nie doczeka się rozstrzygnięcia?

Bo jednak przyznajmy, że gros grzechu i pokuty za nielegalnie zrodzone potomstwo bierze na swoje barki kobieta, i że to jest wielką, donośnie krzyżującą niesprawiedliwością, gdyż te „wyrodne matki“, te morderczynie swoich dzieci, lub w najlepszym razie podrzucające je gdziekolwiek, lub „oddające na wychowanie“ — są nieszczęśliwymi ofiarami uczucia, które pokutują za swoją i męczyzny winę latami nędzy i poniżenia, i tą całą niedolą swego nazawsze zmarnowanego życia. Społeczeństwo jest w tym wypadku ślepe i głuche, jak starożytna bogini sprawiedliwości, a może jeszcze bardziej: w swej ciasnej i często bezmyślnej moralności za jeden grzech pcha, niby siłą bezwładu, w cały labirynt innych, gorszych, cięższych i bardziej obciążających życie.

Kobieta jest wyklęta za to, że ma dziecko, a skazana za to, że je zabija lub podrzuca. Jakiem korytem ma płynąć życie takiej nieszczęsnej, skoro nikt

nie okazuje pomocy ani jej, ani dziecku, jeśli nawet chce je zatrzymać przy sobie?

Tego zagadnienia nie obejmuje żaden przepis, ani prawo, ani żaden kodeks, choć sprawa ta wrosła w życie korzeniami szeroko i rozlegle i stała się punktem wyjścia całego szeregu powikłań. Społeczeństwo stara się usunąć te powikłania, lecz, zajmując się tylko zagadnieniami wtórnymi, pochodnymi, zawsze prędzej czy później wyjdzie na bezdroża, lub będzie krążyło po błędnym kole nie trafiających w sedno usiłowań.

A tymczasem całe szeregi istnień giną, a tymczasem dusze kobiet paczą się w rozterce i zgryzocie, uczą się nienawidzić, uczą się... zabijać! Macierzyństwo — takie czy inne, legalne czy nielegalne — nigdy nie może być nazwane zbrodnią lub grzechem, gdyż samo, jako takie, jest już ekspiacją i udoskonaleniem, a traktowane bywa, jak najcięższa zbrodnia lub grzech, wymagający pokuty całego życia. I nieszczęsne matki pokutują czasem w więzieniu za śmierć lub podrzucenie dziecka, pokutują ciężkim losem, szczególnie, gdy w myśl etyki, głoszonej przez wielkich tego świata, mają przy sobie swoje maleństwo. O etyce jednak nie myślą one w tym wypadku: poprostu, kochają dziecko i nie chcą się z niem rozstać. I takie matki są już zawsze zabezpieczone od upadku i grzechu.

Kwestja podrzucania dzieci jest, obok dzieciobójstwa, jedną z najboleśniejszych w tem całym zagadnieniu. Kobieta postępuje w tym wypadku wbrew prawom Boskim i ludzkim i wbrew własnemu sercu, które, pomimo ciężkiego losu, jest zawsze sercem matki. Ale co ma robić, co robić, jeżeli sama z głodu kona i jeżeli wszyscy, z którymi dawniej coś ją łączyło, odwrócili się od niej?!

Są przytulki — mógłby kto powiedzieć — ale przytulki są tak przepelnione, że niema mowy o przyjmowaniu jeszcze dzieci. Więc co? Śmierć lub poniewierka, bo doniedawna jeszcze nikt się dołą takich matek i takich dzieci nie zajmował. Poprostu, nie należało to do dobrego tonu, gdy przeciwnie, w dobrym tonie było bezwzględnie wydalić służącą, będącą w poważnym stanie, lub nie przyjmować matki z dzieckiem. Tak, fałszywa moralność jest często okrutniejsza od prawdziwej.

Tak było jednak doniedawna, bo oto w marcu 1922 roku ukazał się w „Kurjerze Warszawskim“ artykuł p. Gawrońskiej p. t. „Wyrodne matki“, który poruszył sprawę nieślubnych dzieci z innego, niż dotychczas, bardziej humanitarnego punktu widzenia. Jak bardzo ta sprawa potrzebowała swego rzecznika,



dowodzi echo, jakim odezwał się ten artykuł wśród społeczeństwa, zwłaszcza kobiecego.

Ze wszech stron poczęto zaofiarowywać serca i ręce ochotne do pracy, ze wszech stron poczęły napływać nieszczęsne matki z niemowlętami, po pomoc i opiekę.

Tak oto wyglądają początki Tow. „Ratujmy Niemowlęta”, które zostało zawiązane bezpośrednio po wyżej wymienionym artykule pani Gawrońskiej; przetrwało po dziś dzień, mając za sobą już bogate rezultaty, a przed sobą — jeszcze bogatsze zamierzenia.

Celem Towarzystwa nie jest wychowywanie dziecka zdala od matki, na koszt Państwa, w świadomości sieroctwa i życia poza nawiasem społeczeństwa. Przeciwnie, chodzi przede wszystkim o mocne zespolenie matki z dzieckiem, o wpływ na jedno przez drugie, i o możliwe doprowadzenie do małżeństwa z ojcem dziecka, lub przyjęcie do rodziny matki.

Do celów tych Towarzystwo wytrwale dąży, a możemy przypuszczać, że dojdzie, gdyż z wyżej wspomnianych postulatów jeden już osiągnęło: rozbudziło w tych kobietach ogromną miłość do dziecka. Zresztą, źle się może wyraziłam — nie rozbudziło miłości, bo ona była zawsze, tylko nieświadoma i nie dopuszczana do głosu przez rozpacz i zły strach przed dalszym losem; pod opieką Towarzystwa miłość ta przemówiła mocnym głosem i żadna siła teraz nie oderwałaby matki od jej maleństwa.

Współżyją więc sobie oboje, choć często nędza zagląda im w oczy, bo jednak zawsze zagadnienie pracy kobiety z dzieckiem jest niesłychanie powikłane. Znowu rozbija się głową mur fałszywej moralności, która, stojąc na cokółce własnej nieskazitelnej cnoty, spokojnie pozwala umierać tłumom „grzesznic”, pozbawiając je tym sposobem możności pokuty. Bo, powtarzam, kto weźmie do służby „dziewczynę” z dzieckiem?

To też panie z „Towarzystwa” z pełną poświęcenia prezeską panią Gawrońską na czele, robią, co mogą, by nieszczęśliwym matkom zapewnić pracę. Ale cóż! choć to i tania robotnica, bo służy za życie i mieszkanie (2 zł. dziennie dostaje od Towarzystwa), rzadko kto chce wziąć taką „niemoralną” osobę do domu.

Rozwiąże tę kwestję definitywnie budujący się obecnie dom zarobkowy, gdzie matka przez pierwszy rok życia dziecka będzie mogła zarobkować, nie rozłączając się z niem. W drugim roku przewiduje się wysłanie matki z dzieckiem na wieś, gdzie „Towarzystwo” projektuje założenie specjalnych 8—10 morgowych gospodarstw, mogących zatrudnić matki przez następny rok. Z dwuletniem dzieckiem kobieta może już sobie jako tako dać radę w życiu. Pójdzie gdziekolwiek do fabryki, a dziecko przez cały dzień zostawi w żłobku pod dobrą i troskliwą opieką.

Takie oto są marzenia „Towarzystwa”, które, da Bóg, szybko się zrealizują, tembardziej, że zarówno magistrat, jak poszczególne jednostki, nie skąpią datków na tak szlachetny cel. Brakuje tylko rąk do pracy, gdyż trzeba pójść i zobaczyć, jak wiele jest tych potrzebujących opieki i pomocy.

Jak koszmar jakiś, suną długim szeregiem kobiety z dziećmi na ręku: różne twarze, różne typy i różny wiek, bo od... szesnastolatków począwszy. Otchłań nędzy, w którą trzeba by rzucać bez końca, aby znać było, że się coś daje. A każda chce pracy, żeby swemu maleństwu zapewnić egzystencję, gdy je los pozbawił ojca. Ojciec jest w tym wypadku jakąś legendarną postacią, o której czasem marzy zboliałe serce matki, ale której przeważnie nie wymarzy. Jednak myśl o „Jego” powrocie zawsze trwa, bo kto wie, może zatęskni, ...choć za dzieckiem, i wróci. Bez tej myśli nie chciałoby bić takie udęczone kobiece serce, dopóki nie zapragnie bić już tylko dla dziecka.

Czasem zdarzy się cud i „on” się żeni. Wtedy „Panie” też bardzo się cieszą i płacą ślub i obrączki. Zdarza się to jednak rzadko, bo dotychczas na przeszło 1900 matek było zaledwie 28 ślubów. Jak strasznie mało!

Obecnie Towarzystwo ma na swojej opiece 150 kobiet, które bez przerwy trzeba się zajmować, tembardziej, że ma być utworzona poradnia lekarska. Jest wszystko, tylko niema rąk do pracy, więc te, które są, opadają już ze znużenia i wyczerpania. Odpocząć jednak nie można, bo okrzyk „Ratujmy Niemowlęta” poczyna się roznosić już po całej Polsce, więc jeszcze trochę wysiłku, a straszliwy problem nieślubnych dzieci będzie jako tako rozwiązany.

Z. M.





SABINA RACIAŹKÓWNA

## TY JESTEŚ JAK OBRAZ

...bo, gdy za blisko stanę przy obrazie,  
ani barwy, ani ciepła nie czuję:  
ani to są rozgwiezdy, ani to są motyle —  
plama za plamą koluje...

ani to są rozgwiezdy, ani to są motyle,  
ani ptaki, ni mgły rozwolezione,  
ni to chleb, ni to wino,  
ni to skrzydła rozwiane...  
Tylko... plamy  
czerwone — — — — zielone — — — —

Bo Ty jesteś, jak obraz: trzeba stanąć zdaleka  
i uśmiechem nie dotknąć Twojej twarzy...  
Zbliża... plamy obłoczne,  
linje sztywne i mroczne —  
— — — — —  
Trzeba... zdala o Tobie marzyć.



HERMINJA NAGLEROWA

251

## ZAWALIDROGA

(powieść)

Według zwyczaju, gdy ruszyli gromadą do parku, towarzyszył Marynie, coś jeszcze pokrzykując śmiesznego w ciemną noc. Franek i Maryna szli przodem, a za nimi szeptały kroki i krztusił się śmiech Stefy. Potem przepadły gdzieś tamte głosy i Franek poczuł ramię Maryny. Cofnął się, ale objęła go rękami za kark i pociągnęła jego głowę ku swojej twarzy. Wtedy powiedział jej niezręcznie i po prostaku, co wie.

— I skądże te plotki?

— Więc nieprawda, przysięgniesz, że nieprawda?

— Może jeszcze mam przysiąc na niebo, ziemię i wodę, że na wieki tylko ty!

Drwiące usta były już blisko i dlatego nie należało się spierać. Zaseplecił oddech krótki i gorący i Maryna, pomieszczona w skuleniu ciała, sprężyła się łukiem. Ale nagle obrzydził ją sobie, wypuścił z ramion i nawet trochę odepchnął ją ręką.

— A teraz koniec — i już nigdy!

Powiedziała mu: — głupi! — Ledwie widoczna w ciemności śmiała się cichutko, jakby się tem wszystkim cieszyła.

Gdy potem razem z Jankiem wracali pieszo do domu, pod pasmami ciężkich chmur, noc była parna i z trudem wdychało się oleiste powietrze. Czasem, jak olbrzymia paszcza, otwierało się niebo czerwoną, ziewającą błyskawicą. Adonis jeszcze dokładniej

opowiedział Frankowi o Marynie, choć napewno przesadzał, bo miał także swoje obrachunki z Łuczańskimi. Niby to ironizował i sadyził się na dowcipy.

— Stefa zaręczyła się ze Stachem z Gorzelowa.

Wszystko to dobrze sobie obmyślili. Teś był wprawdzie zgonnikiem, ale zato jest Gorzelów, są kamienice w Jazłowcu i we Lwowie. Kochany pan Edward chętnie zajmie się administracją tych kamienic lwowskich, bo Żarnówka lada dzień pójdzie na licytację. No, włazi ci już w twarde leby? Stefa zadysponowała sobie Roll-Royce'a i jakąś podróż nokoło świata ze swoim ślepaczkim.

Wistocie wszystko ułożyli tak mądrze i zręcznie, że Franek raczej podziwiał, niż się oburzał. Jeszcze nawet rozpytał o szczegóły, o Stacha, jaki on właściwie jest. A sam dla siebie pomyślał, że Maryna wróci do Lwowa — że tam jest Wawar. I dopiero teraz zaczął w nim wzbierać gniew. Jak to tam temu Wawarowi zwierzy się Maryna, jak napewno przynaczy poswojemu, przechwalnie — że to niby wszyscy padają przed nią na nos. Nie do zniesienia były te myśli, a w dodatku, Adonis pogadywał swoje świństwa o Marynie i Łuczańskich. Nawet jakąś klucznicę przyczepił Łuczańskiemu.

— A może i o tem nie wiesz, że Łuczański należał tu do świty twojej matki.

Franek odwrócił się i uderzył Adonisa w twarz. Sapiąc i wycharkując złe słowa, szarpali się, jak



ulicznicy po nieudanej zabawie. W ciemności gubiły się ręce, chybiały chwyt i tylko kurz, podruszony stopami, dymił, jak z paleniska. Nagle Adonis zwałił się całym ciężarem na Franka i, przytuliwszy głowę do jego ramienia, zaniósł się płaczem. Tak tu kichał, kaszlał i chlupał łzami, ale Franek niczego nie żałował, bo jeszcze, zjeżony i dziki, był niesyty bójką. Wstrętem napelniały go urywane słowa Janka: o miłości do Stefy, o tem, że bez niej nie może żyć, że nie wiedział, co mówi...

Wreszcie, wyplakawszy swoje, Janek odsunął się i milcząc szli dalej. Już byli w obrębie Kaliniec, gdy Janek odezwał się głosem nad podziw czystym i spokojnym:

— Przenocuję dziś u ciebie, tak jak ułożyliśmy. A zresztą, tak mnie zdzieliłeś swoją ordynarną łapą, że pewnie nie będę się mógł ludziom pokazać.

I choć przyjaciel z takiego wziął tonu, Franek nie mógł mu wybaczyć urazy. Powiedział ze złością:

— Dostałeś jeszcze za mało!

— Przecież cię przepraszam, przecież przyznaję, że nie trzeba było.

Ale uczucie przyjaźni było już, jak nadpęknięty owoc.

## XXV.

Wieczorem piekły przepalone od słońca powieki, więc ojciec i Hala błakali się, niby zjawy, w złotem świetle lampy. I, niby we śnie, wyczuwał Franek, że coś się tu przemieniło, coś szumiało milczeniem i niechęcią.

Dopiero, gdy słotna trzydniówka szarą, świecąca platyną wypełniła przestwór, Franek mógł się przypatrzeć temu, co się tu objawiało tajnymi znakami. Hala grubą warstwą pudru zasypywała pęcznienie nos, jej nabrzmiałe wargi grymasiły nad każdą potrawą, a bylejakie słowo ojca rozplątało się łzami na jej źrenicach. Zagniewana i opryskliwa, męczyła, jak ta słota. Daremnie ścielił się przed nią Franek potulnymi służbami, skoro odpychała go nieuprzejmie.

— Nie trzeba, sama potrafię!

A właśnie brała się do najcięższych robót, dzwigając doniczki, aby je wynieść na deszcz, przesuważąc meble, przewieszając obrazy i popisując się wszelką akrobatyką. I, doprawdy, jej niezyczliwość dla Franka była aż nadto widoczna. Zosobna chmurzył się złym humorem ojciec, choć nibyto usiłował łagodzić przykre słowa Hali niepotrzebnym uśmiechem, przeznaczonym dla Franka. Ostatecznie, trzeba było wycofać się z burzliwej atmosfery do oficyn.

W dniach słoty napisał Franek wiersz o pracy i przeczytał go Iwasowi. Wogóle z Iwasem trwała

przyjaźń bliska, ale trochę nudna, bo zaprawiona dyskusjami.

— Mówimy: praca — dowodził Iwaś — ale oddech tego słowa jest zakrótka i dźwięk zaślaby. Praca — to zawsze jeszcze tylko pług, żniwa, rąbanie drzewa i dlatego słowo to stało się dziś anachronizmem. Trzeba wymyślić jakąś burzę zgłosek, któreby rozszarpywały powietrze, jak warkot motoru, jak łomot maszyn. Trzeba tworzyć nowe słowa dla nowego życia.

To „nowe życie“ było teraz głównym motywem Iwasia. Wywlekał je skądś i cackał się niem, rzeźbił gestami, wielił zachwytem oczu.

— Musimy się nauczyć inaczej myśleć. Wlecemy za sobą stare lachmany pojęć, a tymczasem wszystko się zmieniło. Trzeba nadażyć wynalazkom. Bo choćby to: — przelatujemy oceany, słyszymy najdalsze głosy. Zrozum tylko! Niema przestrzeni, niema nocy nad nami, jest tylko wielkie, jasne słońce myśli ludzkiej!

— Przesadzasz! — niecierpliwil się Franek i wskazał okno. Czarna deszczowa noc pluskała się wśród drzew sadu.

— To są przerośnie, a ty od razu chcesz dosłownie, realnie. Gdybym miał twój talent, powiedziałbym lepiej. Tyle tylko, że myślę dużo. Ale i to jest czyn, bo myśl idzie w świat. Nikt jej nie widzi, nikt nie słyszy, aż któregoś dnia, którejś chwili usiądzie na czyichś obcych ustach i wypowie się głośnym słowem — ze słowa zamieni się w czyn. Każda myśl musi się stać i dlatego wszystko się wypełnia. Nie zaraz dziś, ani jutro. Czasem dopiero po wiekach. Spełniają się przecież marzenia fantastów, pragnienia zbiorowisk ludzkich, narodów.

Franek pomyślał, że Iwaś ląduje już w „narodowym“ porcie i teraz zacznie się kołysać pod wyniosłym masztem.

— Ja nie doczekam, ja — myślę.

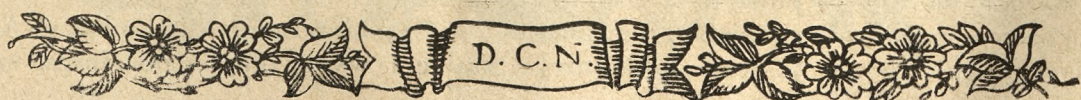
Głos Iwasia rósł na łzach.

— Iwaś, czas spać! — wołała matka za drzwiami.

— A to — trzepnął Iwaś rękami w stronę drzwi — to jest mało warte. Małe życie z kurnika.

Dostojeństwo Iwasia przygnębiało do reszty, bo właściwie naurągał tu jego wierszom, wypyszniając się, jak kaznodzieja. Nastrój bywał więc ohydny i biegł, jak dzuma, w tropy za Frankiem. Ścigany, kluczył, ale zły dech dosięgał go wszędzie.

Halę odwiedzała teraz często Klima, ale i ona była niedostępna, jak królowa z szklanej góry. Przylepiona do Hali, szeptała coś z nią po kątach, a Franek stał na uboczu, jak pogardzony zalotnik.





M. H. SZPYRKÓWNA

## PRZYSTOSOWANIE

Jeżdżąc po Francji, zwłaszcza w Lourdes, specjalnie zainteresowałam się stosunkiem przeciętnego obywatela — tej poprostu ludności miejscowej — do następczących się im sposobności zarobkowych.

Południowcy są wogóle raczej mało skłonni do ruchliwości w sensie interesu. O ile są niezmiernie żywi i ekspansywni w osobistym wyrażaniu uczuć, o tyle kupiectwo nie wydaje się być ich powołaniem najrdzenniejszym. A jednak, porównując ich, lurdzian — jeśli tak ludność miejscową nazwać można — z naszymi małomiasteczkowymi ruchliwcami, doszłam do wniosku, że my dopiero raczkujemy.

Pamiętam doskonale, jak szczególnie zwróciłam na to uwagę podczas przypadkowej wycieczki w okolice, jaką odbyłam ostatniego dnia przed wyjazdem. Lourdes jest piękne nie tylko, jako miasteczko samo w sobie, ale jeszcze i przedewszystkiem — jako wprost zaczarowana okolica. Są tam drogi górskie, ze sławnym Szlakiem Pirenejskim na czele, których piękno nie dorówna i które stanowią przedmiot eksploatacji ze strony towarzystw turystycznych.

Między innymi, jedną z najbliższych a najbardziej ciekawych wycieczek są słynne Pieczary Betharramskie (Grottes de Beth-Arram).

Grotty zawsze mają w sobie pewien urok tajemniczości, a grotty Betharramskie słyną, jako jedne z piękniejszych. To też, mimo, że był to ostatni dzień mego pobytu, zdecydowałam się. I tu miałam pole do podziwu.

Namyśliłam się późno i kiedy zakomunikowałam o tym swoim projekcie w hotelu, okazało się, że wszelkie możliwe autobusy i wycieczki już dawno wyjechały. Ale dla zarobku wiele tam się robi. U nasby powiedziano, że już teraz wycieczki więcej nie będzie — i amen. Tam — bynajmniej! Gospodarz, dowiedziawszy się o tem, zmartwił się nie na żarty.

— Żeby cudzoziemka i przytem une femme de lettres wyjechała, nie widząc naszych pięknych grot, to niemożliwe! Znam jedno takie biuro, oni miewają okazje ekstra. Zaraz zatelefonuję, żeby sprawdzić. Zrobi się, co się da!

Po godzinnych telefonach, posłańcach, alarmie i zabiegach, triumfalnie zostałam zawiadomiona, że za godzinę wyjeżdżamy.

— Ale dlaczego za godzinę? Będzie za mało czasu przed wieczorem.

— O! To się robi krótszą trasę. A musi przecież zebrać jeszcze parę osób, bo przecież madame nie będzie chciała płacić za kilka miejsc? To zabierze chwilę.

Idąc do biura z autobusami, dojrzałam agenta,

który rozpaczliwie gestykulował, namawiając dwu Anglików, najniewinniej przyłapanych w drodze na lunch. Anglicy się wahali, bo odżywianie jest w tym narodzie sprawą raczej rytualną, i przerywać zwyczajów w tym kierunku dla błahych przeszkód się nie godzi. Ale widocznie wymowa naszego gida miała swoje uroki nie do zwyciężenia, bo zrezygnowani, spojrzeli na siebie i potem skinęli głową.

— All right! Prowadź pan do biura.

„Najlepsze, najtańsze i najbardziej komfortowe biuro” — jak głosił szyld, składało się z jednej osoby tegoż gida — onże właściciel, onże naganiacz, onże szofer. Trzy inne ofiary mojej ciekawości turystycznej czekały już na trzech stołkach wewnątrz lokalu, ozdobionego jedynie barwną mapą rozkoszy, czekających turystę na Pirenejskim Szlaku. Wystraszone pacholę w baskijce, czytające książkę w kącie w roli zastępcy szefa, zerwało się, aby ustąpić mi czwartego stołka. Wyobrażałam sobie zgóry, jaki to będzie autobus!

I otóż bynajmniej. Autobus był klasa! Nie ustępował w niczem najdoroślejszym biuram, zaopatrzonym w kilku szefów, najeżonych kilkunastoma pomocnikami. Nasz ruchliwy gid siedział przy kierownicy i łaskawymi gestami zapraszał mnie na miejsce obok siebie.

— Ici, madame sera très bien! I najlepiej będzie widziała piękny nasz baskijski krajobraz.

Anglicy z kodakami i zabranym ze sobą lunchem — jakich pełno jest w koszyczkach po sklepach, zawsze w pogotowiu i wręcz przeciwnie, niż u nas — wsiedli zgodnie na ostatnie miejsca, porozumiewszy się ruchem brwi i skinieniem fajką. Równie dokładnie umieją, bez nadużywania dźwięków, porozumiewać się tylko mrówki. I ruszyliśmy naprzód.

— Musimy się bardzo śpieszyć!... — tłumaczył szofer. — Za dwadzieścia minut nadjedzie do Grot wycieczka z... — wymienił jakąś miejscowość. — Trzeba, żebyśmy trafili do tego kompletu, bo zwiedza się grupami.

Mimo pośpiechu, nagle na jakimś poetycznym zakręcie opodał toru kolejowego, gdzie w drzewach migał domek z werandką, autobus stanął i zatrafił. Zdziwiłam się, ale wkrótce zrozumiałam. Z domku wyjrzała postrzępiona poetycznie głowa, poczem za chwilę wypadł na nas fotograf w całkowitym rynsztunku, osłonięty tajemniczo, jak piękna hiszpanka, czarnym szalem na zmierzwionej głowie. W rękę miał szereg pocztówek, które z błyskawiczną wprawą rozdał nam wszystkim, jak gracz karty.

— Piękne, poetyczne miejscowości nasze,



z uwiecznioną na nich grupą turystów, będą dla państwa po powrocie miłą pamiątką, pojedynczo drożej, grupa za dwa franki!... — wyrecytował jednym tchem, zbierając momentalnie z dziwną przytomnością umysłu, świeżo rozdane fotosy. — Żadna z grup turystów nie zaniedbuje zaopatrzyć się w tę miłą, a tak dostępną pamiątkę. Trzy minuty w zupełności wystarczy. Za trzy godziny, wracając, każde z państwa dostanie gotową grupę ze swoją podobizną, na tle wspaniałych Pirenejskich gór. Panie proszę główki na prawo! Panowie mogą na chwilę stanąć, lub zresztą, jak komu się podoba! Proszę o wyraz! Raz! Zaczynam. Dwa. Trzy! Dziękuję państwu. Za dwie godziny, na tle pięknych Pirenejskich gór. Jaktó, pan łaskawy zamawia tylko jedną!? Przepraszam, sądziłem, że to pańska małżonka. Tu jedna, dwie, trzy... sześć. Po franku zaliczki od każdej, tak, dziękuję! Au revoir! Sześć grup i dwie powiększone na godzinę piątą na autobus firmy veuve Michel, osiem franków zaliczono. Jedna ekstra i gratis dla pana szofera. Dziękuję. Żegnam. Szczęśliwej podróży. Zawsze gotów do usług!... O piątą!

Byliśmy tak oszołomieni potokiem i wartkością sypanych na nas rzeczowych i uprzejmych zdań, że protest został niejako w samym żarodku sparaliżowany. Nie miałam najmniejszej idei uwiecznić swego kataru na tle Pirenejów, ale stało się. Dopiero po kilometryr wpadłam w zdumienie nad znakomitą organizacją takiego interesu, który działał niewątpliwie w porozumieniu z szoferami i firmami i, jak wtedy lekko obliczyliśmy między sobą, musiał zarabiać dziennie około trzystu franków. Nawet Anglicy wyjęli fajki z ust i patrzyli na przedsiębiorczego fachowca, który się przyczaił w skałach, łagodny a drapieżny, jak jastrząb, przebrany za synogarlicę, czyhając na lekkomyślnych podróżnych. Poczem spojrzeli po sobie, odrzucili głowy w tył i wybuchnęli soczystym, jak rostbeaf, angielskim śmiechem, z aprobatą kiwając ku sobie. To im się podobało. A mnie — zaimponowało niewymownie. Tyle się u nas pisze o zorganizowaniu racjonalnej pracy i budżetu domowego! Ten domorosły artysta potrafił „na tle wspaniałych Pirenejskich gór“ zorganizować sobie świetnie pracę i nienajgorszy zapewne budżet, bynajmniej nie radząc się starego Emersona. Po jakimś czasie zaczęły wylaniać się pagórki, mniej lub więcej zresztą jeszcze łagodne. Z pojęciem o grotach podziemnych łączyłam zawsze wysokie i fantastyczne skały, wystrzelające cyplami w górę. Tymczasem autobus dojechał do radośnie zielonej, łagodnie kopulastej góry, dobrej do pasania baranków, i stanął.

— Les célèbres grottes de Betharram! O piątą odjazd. Panowie turyści są proszeni o punktualne stawienie się do odwrotu.

Podreptaliśmy ścieżyną w górę, zderutowani. Na krótko, bo zresztą nigdzie przestroga o niekie-

rowaniu się pozorami nie miałyby większego zastosowania: grotty podziemne tej barankowej górki są wspaniałe i posepne królestwem, o którym trzeba napisać osobny i ekstatyczny artykuł. Ten jest poświęcony raczej rozważaniu sposobności zarobkowych, w lot chwytanym tam przez ludność miejscową, obdzierającą przybysza ze skóry z taką wprawą i wdziękiem, że ani się spostrzeże sam, jak mu wręczą za gruby pieniądz zrobioną z niej portmonetkę — na pamiątkę. Kościoły i sale podziemne, oświetlone artystycznie lampkami, ukrytymi w załomach, których światło jakby promieniowało ze skały — przepyszne zasłony stalaktytowe i stalagmity potężnych wymiarów — zdumiewająco podobne do mnichów, dziewicy na stosie, słonia, lwa i t. d. złomy kamienia o kształtach, wykutych przez dziwaczny kaprys wody — i wreszcie, podziemna, czarna, jak smoła, rzeka, którą przeprawialiśmy się na drugą stronę przepaści podskalnej, w tak umarłej ciszy, że słyhać było krople wilgoci, spadające z ginących w mroku sklepień: wszystko to było zaiste piękne, malownicze, dzikie i godne jaknajdokładniejszego obejrzenia. Za każdą atrakcję trzeba było płacić zresztą osobno i wydostaliśmy się przez inną rogatkę z innej strony góry, lżejsi o wiele więcej franków, niż to ogłaszają prospekty, zredagowane w cenie zachęcającej.

Ale autobus poszedł poza koleją, trudem i facytą gida, który nie robił, jakby u nas zapewne było, hrabiego — zdjęcia autobusu istotnie były dobre i istotnie na czas, co nas kosztowało inne trzy minuty postoju — restauracyjka przy grotach miała istotnie ciekawe wyroby z marmurowych kwiatów i owoców i odłamów kamieni półszlachetnych, w jakie obfitują Pireneje — i wycieczka istotnie była miła. Czyż wobec tego, istotnie, mogłam nie dać pięciu franków ekstra i memu gospodarzowi, który zerwał telefon rano, aby „madame“ nie wyjechała nie obejrzawszy „naszych wspaniałych okolic baskijskich“ i nie zostawiwszy swoich paruset franków haraczku za... umiejętność ich wydobycia przez miejscowych amfitrjonów?...

I czyż nadto mogłam nie żywić podziwu dla tej umiejętności, zwłaszcza w zestawieniu z naszymi turystycznymi okolicami, gdzie chłop nie umie zadowolnić letnika czy turysty w niczem, zdziera wiele, niesłusznie i bez wdzięku — i nie wkłada nic w inwestycje, któreby mu rozszerzyły dochody, wzmagając wygodę gościa? U nas, gdzie człowiek co krok się potyka nie o brak piękna natury, bo mamy cudowne poprostu okolice: ale o kamienną obojętność i nieruchawość umysłową ludności miejscowej, dzięki czemu te najpiękniejsze nasze miejscowości czekają jeszcze na Kolumba, któryby je odkrył i na... ministra Składkowskiego, który z tych Augjaszowych stajen robi kulturalne i dostępne zwiedzaniu polskie Pireneje... w Pieninach?...



## PO ŚMIERCI Ś. P. JACKA MALCZEWSKIEGO

„Jak oni się wynoszą!” — szepce jeden z obecnych przy śmierci „ostatniego z romantyków” w „Lalce” Prusa. I w tej samej chwili wzrok pada na słowa listu, który umarły człowiek ma na piersiach:

„Non omnis moriar”.

Non omnis mortus est. Odszedł, ale nie wszystek. Odszedł, ale zostawił ową nić tajemniczą, która tak rzadko w ostatnich czasach wiąże nas — dzisiejsze pokolenie — ze sztuką dawniejszą.

Jacek Malczewski — „ostatni romantyk w malarstwie” — tkwił przecież tak mocno w naszej dzisiejszej a-romantycznej rzeczywistości. Głową sięgając chimerycznych, nierealnych chmur, ramionami obejmował mocno drgającą życiem, twardą, brutalną — ziemię. Jego romantyzm ma swoiste, zdrowe, drapieżne jakby potrosze zabarwienie, jego fantastyczna wizja świata opiera się na bardzo konkretnych, bardzo żywych „przesłankach”. Gdy jego postacie człowiecze noszą piętno jakiejś nieuleczalnej, może nawet amorficznej w pewnym sensie, melancholji, bezpłodnego smutku — ciała pochylających się nad nimi djablic i rusalek — które są przecież tylko „wytworami fantazji” — drgają najbujniejszą, najczerwieńszą krwią, prężą się pod naporem pulsują-



Jacek Malczewski — „Koniec Rapsodu”.



Jacek Malczewski — „Zatruta studnia”.

cych sił, są jedną wielką afirmacją dynamiki, niezniszczalności życia. Gdy głowa umęczona, śmiertelnie smutna głowa ludzka opada, zmożona, wdół — tem djaboliczniej śmieją się usta szerokie i namiętne bestji, tem zmysłowsze zdają się jej pełne, „rodne” piersi — bynajmniej nie „chimeryczne”, choć u ramion wznoszą się jej jakoweś bajeczne skrzydła, a z tyłu skręca się zwierzęcy ogon. Możesz sobie pójść precz, staruszku — wyschnięte ciało, pochyloną głowę śmierć woła — jędrne, świeże ciało dziewczyny bieleje cynicznie, zuchwałe — naprzekór, na zaprzeczenie śmierci, na wieczną cześć złej, obojętnej, radosnej — naturze.

Poprzez wycucie właśnie tego dualizmu, poprzez to ciągle akcentowanie faktu, że rzeczywistość patrzy ku nam dwoma obliczami, poprzez owo mądre i mężne pogodzenie się jakby z faktem wiecznej przemiany, wiecznego odpływu, po którym nadchodzi nic nie pamiętający, obojętny na wszystko przypływ — przez to właśnie bliski jest nam ś. p. Jacek Malczewski. Że potrafił pojąć tę prawdę naszej cynicznej, a przez to może właśnie tragicznej, epoki, a nade wszystko — że potrafił znaleźć dla niej wspa- niałą, mocny wyraz plastyczny — tedy, gdy umarł, wielka jest po Nim żałoba.



Jacek Malczewski urodził się w r. 1854, w Radomiu. Jako 19-letni młodzieniec, wstąpił do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie kształcił się pod kierunkiem Matejki. Następnie pracował w paryskiej „Ecole des Beaux Arts”. Przypadający na owe czasy rozkwit impresjonizmu pozostawił małe stosunkowo ślady na jego twórczości; szybko również potrafił wydobyć się z fascynującego koła wpływów matejkowskich. Już jako młodzieniec szuka własnej drogi wypowiedzenia się malarskiego. Odpowiednikiem niejako tego wspaniałego wyczucia *organiczności*, wigoru, bujności życia, które ma w tak wysokim stopniu — staje się w jego obrazach żywy kształt, cudownie opanowana forma organiczna, opierająca się na mistrzowskim rysunku. Ze szczególną pasją rozwiązuje również trudne i zawile zagadnienia kompozycyjne, przyczem zdobywa się nieraz na niesłychane, nieoczekiwane skrót — jak np. w słynnym obrazie: „Eloe dźwigająca na skrzydłach zmarłą Ellenai”. I tu mamy do czynienia z tak rzadkiem zjawiskiem, gdy skrót czysto plastyczny, z krwi i kości malarski — staje się odpowiednikiem symbolicznego skrótu, w założeniu swem literackiego...



Jacek Malczewski — „Autoportret”.

W pierwszej fazie swej twórczości Malczewski maluje przeważnie sceny o charakterze raczej realistycznym, oparte na motywach patriotycznych, przeważnie zaczerpnięte z martyrologii sybirskiej („Niedziela w kopalni”, „Śmierć Ellenai”, „Śmierć wygnanki”, „Zesłanie studentów” i najpiękniejsza bodaj „Wigilja wygnańców”). W latach dziewięćdziesiątych, po podróżach włoskich i pobycie w Monachjum, osiada na stałe w Krakowie. W tym czasie zmienia się kierunek jego twórczości — obrazy swe osnuwa dokoła tematów fantastyczno-symbolicznych. Płótna jego zaludniają się niesamowitymi stworami, strzygami i chimerami, które stanowią niejako uosobienie grzechu, a zarazem nieuniknionej konieczności życia. Zdobyte już w poprzedniej fazie rozwoju

niezwykle walory ekspresyjne łączy tu z wyrafinowaną kompozycją, przyczem zdobywa się na niezwykle zestawienia — niezwykle zarówno jako pomysł literacki, jak też jako forma plastyczna.

Z pośród obrazów Zmarłego wiele znajduje się w krakowskim Muzeum Narodowym — a więc „Śmierć Ellenai”, portret Wyczółkowskiego, „Moje modele”, „Wigilja na Syberji”, „Portret własny”, „Nieznana nuta”, „Derwid”, „Umizgi fauna”, „Madonna”, „Dwie dziewczynki”; ponadto liczne portrety, szkice i rysunki z podróży na Wschód.

W Warszawie „Zachęta” posiada „Szopkę” oraz dwa autoportrety, zaś Muzeum Narodowe wiele portretów i kilka autoportretów (między innymi autoportret, zatytułowany „Na jednej strunie”); następnie kompozycje: „Wiosna”, „Na etapie”, „Hamlet polski”, oraz wiele rysunków piórkiem. J.

STANISŁAW MACHNIEWICZ

2

## WSZECHWŁADZA STYLOWEJ BRZYDOTY

Wszystko tam było udane. Przepych papierowych aksamitów, lichych drukowanych, lub fabrycznie haftowanych makat, maszynowych koronek, z gipsu odlewanych i bronzowanych figur, w cynie tłoczonych rzeźb, z masy papierowej odlewanych starych zbroi — jednym słowem, istny zbiór najjordaniejszych fałszerstw w materjale, formie i zdobnictwie.

Ta produkcja „artystyczna” była łatwa, tania i szybka, zaspokajała potrzeby zdemokratyzowanej masy, która pożądała gwałtownie na swój sposób poj-

mowanego przepychu. Fabryki tego rodzaju wyrobów uginają się pod nadmiarem pracy i zamówień. W miastach powstawały rozliczne sklepy, wypełnione aż po strop wyrobami rzekomo artystycznymi, które rozchwytywano namiętnie, lubując się potem i rozkoszując zbiorami takich niezwyklej okropności, gromadzonych nawet po najuboższych domach i mieszkaniach. Wszystko jednak posiadało swój styl. Kałamarze bywały gotyckie, zegary egipskie lub klasyczne, przyciski barokowe, talerze rokokowe, figurynki barokowe, pudełka wschodnie, lampy romańskie, lich-



tarze pompejańskie, tapety renesansowe, dywany ludowe, szkła empirowe — wszystkie style i epoki artystyczne miały swoich udanych i lichych przedstawicieli. Istna maskarada i zawierucha stylowa!

Na wszystkie tego rodzaju okazy posiadano gotowe wzory, schematy, którymi posługiwali się niezamordowane wszyscy rzemieślnicy. Uchodziło to nawet za dowód wykształcenia fachowego, znać się na stylach, przynajmniej najważniejszych i najbardziej wziętych! Manja stylowości opanowała wszystkie warstwy i stany. Aż dziw, że nie próbowano tej pasji stylowej zastosować do gwałtownie budowanych podówczas kolei parowych. Przykładano jednak tak pogardliwą wartość i miarę do tych tworców, uważając je wprost za zło konieczne, że nikt nawet bliżej nie zastanawiał się nad ich konstrukcją.

To samo lekceważenie okazywano i innym twórom sztuki inżynierskiej: mostom, fabrykom, budowom terenowym i innym budowiom użytkowym, które zgóry wyłączono niejako z zakresu robót artystycznych, a tem samem wyjęto je z pod krytyki i rozpatrywania estetycznego. Uprzywilejowane stanowisko zajął architekt: zaliczano go do artystów, każąc mu jednocześnie popisywać się maskaradą stylową na każdym kroku. Najwyższe jednak miejsce w hierarchii twórczej przysądzano zawsze malarzowi i poecie, jeszcze nieco względów okazując muzykowi, śpiewakowi lub artyście scenicznemu. Architektce i rzeźbiarzowi przypadło stanowczo pośledniejsze miejsce. Wedle bowiem ówczesnych zapatrywań estetycznych, nie można było dość wyraźnie określić roli natchnienia, tak uwielbianego ówczesnie, w ich pracy twórczej.

Na tle takich stosunków musiało się wytworzyć powszechne kłamstwo, zwłaszcza odnośnie do każdego stanu zosobna. Każdy mógł mieszkać w domu czynszowym, naśladowującym swoją zewnętrżnością magnackie lub książęce pałace renesansowe, niedziw więc, że jakaś cząstka, choćby najdrobniejsza, tego splendoru spadała na jego osobę. Objawiało się to w formach życiowych, w mieszkaniu, w chęci imponowania każdemu swoją osobą, no i, naturalnie, w karykaturalnych często stosunkach towarzyskich. Zewnętrzne i nieistotne cechy dawnej kultury sfer wyższych przeszły na warstwy mniej, niż średnie, które, mając wielkie ambicje i pragnienia, a małe stosunkowo środki materialne, musiały chwycić się najróżnorodniejszych sposobów zastępczych, naśladowczych i fałszywych, aby zachować, bodaj pozory upragnionej wielkości, elegancji, wytworności.

Epoka karykaturalnej i parodjowanej kultury! Niezbadała suma fałszu, pozy i kłamstwa. A co najciekawsze — wszystko to jest podświadome, przypadkowe, a nieraz czynione wbrew przekonaniu lub woli.

Dziwni ludzie tej epoki nie poprzestawali na wyliczonych i scharakteryzowanych upodobaniach i właściwościach. Kult piękna stylowego posunęli jeszcze

dalej. Badając zabytki epok minionych, spostrzegli, że właściwie niesłychanie rzadko spotyka się dzieła lub pomniki o czystym stylu, nie posiadające żadnych domieszek stylowych. Jakże rzadko widzimy kościoły gotyckie bez dobudowanych kaplic lub wieżyc w innych stylach — renesansowym, barokowym, czy empirowym! Wnętrza kościołów pod tym względem greszą jeszcze większą swobodą, jeśli już nie swawolą. Piękne, mroczne i mistyczne tury gotyckie posiadają zazwyczaj ołtarze barokowe, pomniki renesansowe, choć niebrak i rokokowych! Wedle ówczesnych mniemań, wszystkie te późniejsze dobudówki psują tylko harmonję stylu zasadniczego danego pomnika. Należy zatem oczyścić je od tych intruzów, choćby najbardziej czei i szacunku godnych, a wrócić świątyniom i innym gmachom zabytkowym ich dawną, może nigdy nieposiadaną, jednolitość. Heż to i jakich spustoszeń, zniszczeń i barbarzyństw dokonano w imię tego nakazu! Niecne w tej mierze czyny uzasadniano teorjami, które starały się wyszukiwać uzasadnienie tego, co czyniono w praktyce.

Dzisiaj, z oddalenia paru dziesiątków lat zaczyna to wszystko razem wyglądać na jakieś złośliwe nieprawdopodobieństwo; żal i smutek nas ogarnia, kiedy na to z oddalenia spoglądamy. Było i przeszło, ale nie przeminą szkody, wyrządzone przez te opaczne pojęcia i czyny, na ich podłożu wyrosłe. Z tego zamętu poglądów i dążeń wyłoniło się pragnienie znalezienia własnego wyrazu dla nowych pojęć i nowych form, wielających zmienione cechy życia. Tak powstał splot pojęć nowych, który, ogarnawszy sztukę, na krótki jednak okres czasu, pogrążył ją w jeszcze większy rozstrój i zamęt.

## Z ŻYCIA EKRANU

(Pierwszy rajzd dźwięków).

A więc nareszcie zobaczyliśmy i usłyszeliśmy film dźwiękowo-mówiono-śpiewny („Śpiewający blazen”) i możemy skonfrontować teorję z rzeczywistością.

Przyznaje, że choć w zasadzie nie byłem entuzjastką tej nowej formy filmu, z powodów, o których pisałam już na ten miejscu — jednakże szłam na ten pokaz z pewnem wzruszeniem, towarzyszącem zawsze przeświadczeniu o sile twórczej człowieka, który oto znów zrealizował jedną z bajek z 1001 nocy. Pragnęłam uwierzyć w znaczenie tego wynalazku dla sztuki filmowej, pragnęłam zostać olśniona, porwana, przekonana i gotowa przyznać, że moje apriorystyczne sądy o filmie dźwiękowym były fałszywe.

Niestety, to samozaparcie okazało się zbyteczne. Film śpiewno-mówiony znajduje się obecnie w takim samym stadium, w jakim przed 25-ciu laty znajdował się film niemy. To jest *wynalazek* — o sztuce jeszcze niema mowy. Publiczność siedzi „bouche béante”, nadektryzowana entuzjazmem dla samego wynalazku, dla zawrotnych sum, które pochłonęła instalacja aparatów, wreszcie — dla nowości wrażeń. Tę *nowość* właśnie uważa mylnie za ich *artyzm*.

Przed 25-ciu laty ruchoma fotografia była takim samym — o ile nie większym — cudem, jak dziś synchronizacja ruchu





Obraz z filmu: „Śpiewający blazen“.

i dźwięku. Ale wtedy nie przewidywano wcale, że kino stanie się kiedyś sztuką, gdy tymczasem dziś zgóry okrzykuje się za dzieło sztuki coś, co jest zaledwie surową próbą.

Wszystkie dźwięki tego śpiewno-mówionego melodramatu przypominają produkcje gramofonowo-radjowe, nadawane przez gigantofon, jakie się czasem słyszy na ulicy, przed sklepami z przyborami radjowymi. O czystości dźwięku niema mowy, a cóż dopiero mówić o jakichś subtelnościach modulacji, intonacji, o kulturze słowa mówionego!

Jolson od początku do końca operuje „lezką“ w głosie, ale ma przynajmniej jakąś dykcję, i gdyby nie śpiewał za często i nie mówił za dużo, możnaby to jeszcze znieść. Ale — kobiety! Z ustek tych ślicznych, eterycznych istot, o których, gdyby nie ten film, możnaby myśleć, że mają słowicze głosy i mówią, jak anielice — wydobywa się jakiś żabi skrzek, lub suchy trzask drewnianej grzechotki, i to wszystko podniesione do X potęgi przez „wzmacniacze“, dzięki którym szept miłosny brzmi, jak wezwanie trąb archanielskich na Sąd Ostateczny.

Najlepiej jeszcze wychodzą t. zw. odgłosy; są to jedyne wrażenia słuchowe względnie przyjemne i wpływające dodatnio na wzmocnienie jakiegoś efektu. Taką jest naprz. scena rozmowy telefonicznej z kabiny, przylegającej do sali dancinowej. Z każdym otwarciem drzwi wdziera się gwar rozmów, muzyka, śmiech, podczas gdy treść rozmowy absolutnie nie licuje z tym wesołym nastrojem. Jest to dobry efekt akustyczny, a jednocześnie — dramatyczny.

Tak samo duże wrażenie robi oddanie, przy pomocy odgłosów, nastroju sali po pierwszej piosnce Jolsona, jeszcze jako kelnera. Wogóle jest to jedyna scena, w której połączenie dźwięku z ruchem nie jest fotografowanym teatrem, lecz ma również jakieś uzasadnienie kinowe: piosnka, śpiewana przez Jolsona, jest punktem zwrotnym w jego życiu, sens każdej zwrotki ma głębokie znaczenie i wywołuje odpowiednią reakcję słuchaczy, co jest przez reżysera dobrze uwydatnione. (Ale tu znów jest szkopuł języka; dla nierozumiejących po angielsku — efekt napewno przepada).

Zato wszystkie następne „występy“ Jolsona są monotonne, a ucho tak jest przemęczone wszelkimi dźwiękami, że nawet akompanjament orkiestrowy do scen niemych (dobrany i nagrany w wytwórni) też wydaje się nużący. Po godzinie marzy się tylko o jednym: o ciszy.

Tyle — wrażenie słuchowe. Cóż mówić o wzrokowych, skoro nietylko zepchnięte są na drugi plan, ale i — do takiego poziomu, którym krytyka dziś już się nie zajmuje. Gdyby to nie był film dźwiękowy, mógłby — ze względu na temat i jego

ujęcie — liczyć na powodzenie jedynie na przedmieściach, gdzie ordynarny melodramat najłatwiej przemawia do wrażliwości widza. Skomplikowane oko obiektywu, umiejące tysiącem źrenic patrzeć na rzeczy i ludzi z najrozmaitszych punktów i z tej widzianej rzeczywistości stwarzać rzeczywistość urojoną — tutaj stało się zwykłym lustrem, w którym odbija się tylko to, co przed nim stoi.

Czy istotnie banalne dialogi i do znudzenia powtarzane „wstawki“ muzyczne, zdolają wyrugować wzrokową presję filmu niemego, pełnego subtelności i niedopowiedzeń, jak muzyka, jak zapach? Czy zamiast obrazów, w których przy pomocy odpowiedniego ujęcia jakiegoś architektonicznego fragmentu — bez napisów i patosu — można wyrazić świat i zmierzch miłości (jak np. w pięknym filmie „Przedziwne kłamstwo Niny Pietrowny“) — będziemy musieli odtąd wzruszać się jedynie losem „śmiejących się pajaców“, gdyż film dźwiękowy tylko za kulisami może szukać swoich bohaterów?

Sądzę, że tak źle chyba nie jest i że dla filmu niemego nie wybiła jeszcze ostatnia godzina. Zanim z obecnego chaosu „ljalogów i napisów, muzyki, śpiewu i „odgłosów“ narodzi się jakieś nowe Piękno — uplynie dużo wody i... zmarnuje się dużo taśmy filmowej. Niemota Wielkiego Niemowy była zbyt *wymowna*, żeby mógł ją zastąpić bełkot jego dzisiejszej mowy.

Stef. H.

## Z TEATRÓW

### TEATR LETNI

Kazimierz Wroczyński: „Wycieczki Donżuana“ — krotchwila w trzech aktach. Reżyserja Janusza Warneckiego. Dekoracje Antoniego Aleksandromicza.

Gwiazdor kinowy (polski przemysł kinowy już się „teatralizuje“!) Artur Dolmen przyjeżdża na wycieczki do instytutu heliopatycznego doktora Łackiego, aby naświetlać swoje umęczone ciało donżuana. Zdałyby mu się wprawdzie raczej naświetlania, któreby oświeciły jego mózg, ale o to nie dba przecież amant filmowy. Aby nie wyjść zbytnio z wprawy, zabrał z sobą pan Artur sekretarkę, która robi twierdzą nie do zdobycia. Zato inne panie, pacjentki, które się tu zbiegły ze wszystkich dzielnic Polski, opadają zdemaskowanego Dolmena i każda na swój dzielnicowy sposób, swoją gwarą przyszcza szturm.

Donżuan daremnie walczy żargonem swojego słownika obcych wyrazów, skoro te wszystkie Dysie, Lale, Iry, Tecie gotowe są na każde szaleństwo. Ale Ira ma już swoje dawne i nawet już zadawnione pretensje do pana Artura i nie byłaby sprytną kobietą, gdyby nie postawiła na swoim. A sztuka nie byłaby krotchwilą, gdyby jej treść nie splatała się, jak warokcz, z rozmaitych perypetyj i z trzech szczęśliwych par. Więc: Artur i Ira, Staszek i Gaga, doktor Łacki i Tecia. Szczęść im Boże na nowej drodze życia!

Publiczka cieszy się tym dzielnicowym galimatjasmem, który jest zasadniczym dowcipem krotchwili, artyści łamią sobie języki, a świetny Kurnakowicz zrobił kapitalny typ. Warnecki i reszta grających: Cwiklińska, Gella, Gromnicka, Leszczyńska, Łaska, Różycki — zasłużyli sobie na sympatię widzów, na oklaski przy otwartej scenie. Nie skąpiono też oklasków autorowi na znak, że sztukę przyjęto życzliwie.

Herminja Naglerowa.





## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

ORZESZKOWEJ ZŁOŻYŁO HOLD GRODNO —  
KIEDY UCZYNI TO CAŁA POLSKA?

W maju roku przyszłego upłynie dwadzieścia lat od śmierci Elizy Orzeszkowej.

Jeżeli utwory powieściowe wielkiej pisarki, aczkolwiek stanowią dotychczas jeszcze ulubioną lekturę bardzo wielu, przeszły już do historii literatury, to ideały jej społeczne żywe są i aktualne do dziś dnia.

Tolerancja społeczna, postęp, praca „organiczna“ u podstaw, oświata i kultura dla wszystkich dostępna, wysoka zasada: „homo homini res sacra“, równouprawnienie kobiety, której zadaniem winno być przygotowanie lepszej ery świata — wszystko to jest dziś celem, do którego dąży ludzkość.

Nie doczekała Orzeszkowa dni wolności, nie dożyła rozwoju pracy, której była pionierką, ale pamięć jej żyje w naszych sercach, a hasła jej powtarzają kobiety polskie w mowie i czynie.

Pierwszy w Warszawie Zjazd Kobiet Polskich, w 1907 r., odbył się pod jej imieniem. Zogniskował on wtedy wszystkie wybitne działaczki, zarówno jak skromne, „szare“ pracownice. Stał się skoncentrowaniem myśli społecznej i patriotycznej kobiety polskiej, sprawozdaniem ze wszystkiego, co zostało dokonane, i zatwierdzeniem planów na przyszłość.

Udało się wtedy pokazać własnemu krajowi i światu, jak dużo zdołały, w ciężkich warunkach niewoli, zrobić kobiety w zakresie oświaty, pracy społecznej, wyrobienia zasady równouprawnienia i nawiązania poprzez granice i pomimo oficjalnego nieuznawania Polski, jako narodu, stosunków z międzynarodowymi organizacjami kobiecymi.

Redakcja „Bluszczy“ podjęła wówczas ogromną pracę organizacyjną — sekretarjat zjazdu. To też niemi przygotowań ze wszystkich dzielnic Polski, z Kresów i z zagranicy zbiegały się w „Bluszczy“, z którym wielka pisarka i przewodniczka ruchu kobiecego pozostawała w stałej łączności i utwory jej (w tym właśnie czasie „Hekuba“) były w „Bluszczy“ drukowane.

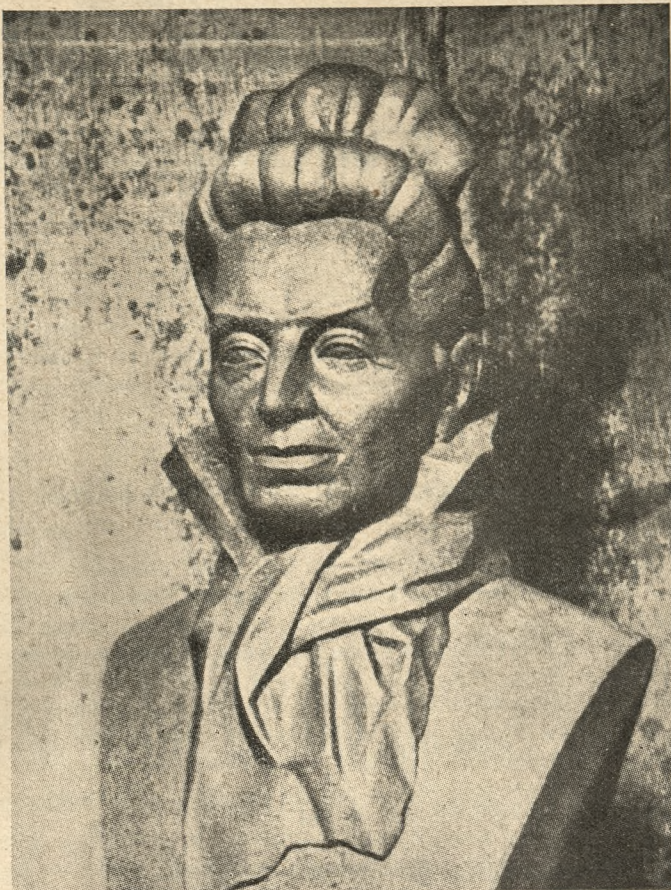
A po latach dziesięciu, jeszcze pod okupacją, ale już w zaraniu nowej ery, w r. 1917, odbył się w Warszawie, drugi Zjazd kobiet polskich, na którym uczczono pamięć nieżyjącej już Przewodniczki.

A zaledwie Grodno stało się polskiem, jeszcze przed nawałą bolszewicką, na początku 1920 r., Rada Miejska grodzieńska uchwaliła wzniesienie Orzeszkowej pomnika w mieście, gdzie zamieszkiwała przez większą część życia, gdzie powstały wszystkie jej dzieła i gdzie stworzyła szeroko promieniujące ognisko polskiej kultury.

Wojna opóźniła prace powstałego wówczas Komitetu budowy pomnika, zostały one jednak po paru latach podjęte nanowo. Komitet zakreślił sobie szeroki plan działania. Uznano słusznie, że jedynym pomnikiem, odpowiadającym wielkości talentu i zasług Orzeszkowej, może być tylko dzieło użyteczności publicznej, i uchwalono wzniesić Dom Imienia Elizy Orzeszkowej, mieszczący wzorową 7-klasową szkołę powszechną, bibliotekę, czytelnię i salę odczytowo-koncertową. Na tle tego gmachu, wiążąc się z nim w architektoniczną całość, stanie popiersie Orzeszkowej. Koszt budowy gmachu obliczono na milion złotych. Suma to duża, ale złożyć ją można łatwo, o ile całe społeczeństwo przyczyni się do tego.

Do tych składek, które mogą być bardzo drobne, o ile złożą je miliony, wzywa Komitet w bardzo pięknie wydanej książce jubileuszowej Orzeszkowej. Książka ta, zawierająca listy autorki „Gloria Victis“, ciekawe obrazy z jej życia, i bogate ilustracje, powinna znaleźć się w domu każdej polki.

Dla tymczasowego uczczenia Orzeszkowej, Komitet postanowił wzniesić już obecnie w ogrodzie miejskim pomnik,



Pomnik Elizy Orzeszkowej, odsłonięty w Grodnie  
(praca art. rzeźb. R. Zerycha).

przeznaczony do ustawienia później przed domem jej imienia. Pomnik ten, dłuta artysty-rzeźbiarza Romualda Zerycha, został wykonany ze składek Rady miasta Grodna, Sejmiku grodzieńskiego, Komunalnej Kasy Oszczędności i ofiar prywatnych.

W dniu 20 b. m. odbyło się w Grodnie uroczyste odsłonięcie pomnika wielkiej pisarki. Na obchód ten przybyli p. minister W. R. i O. P. Czerwiński, ks. biskup Bandurski, przedstawiciele Senatu, Sejmu, władz administracyjnych i miejskich Grodna, Uniwersytetu wileńskiego, delegacje towarzystw literackich z całego kraju, liczni przedstawiciele prasy i wszystkich sfer społecznych.

Ceremonji odsłonięcia pomnika dokonał p. minister Czerwiński, poświęcenia ks. biskup Bandurski, który w natchnionych słowach oddał cześć pamięci Orzeszkowej, propagatorce sprawiedliwości i miłości. Prócz tego wygłosili przemówienia pp.: prezes Komitetu budowy pomnika, Giedroyć, p. minister Czerwiński, marszałek Senatu prof. Szymański, p. Rygier-Nalkowska i prezydent miasta Rączaszek. Po przemówieniach, rozpoczęło się składanie u stóp pomnika wieńców, których ogromna ilość nadesłały stowarzyszenia miast, gminy i osoby prywatne.

Po południu odbyła się wielka popularna akademja w teatrze garnizonowym, wieczorem zaś w teatrze miejskim uroczyste przedstawienie, następnie raut w salach Zamku.

Spoleczeństwo grodzieńskie spełniło pięknie obowiązek uczczenia pamięci swej Wielkiej Obywatelki. Kolej teraz na całe społeczeństwo polskie, z którego składek powstać powinien dom imienia Elizy Orzeszkowej, pomnik-szkola i pomnik-księżnica, prowadzący w przyszłości pracę w myśl wskazań wielkiej pisarki.



GDYBY RODZINA WOJSKOWA O TEM POMYŚLAŁA.

Sekcja kulturalno-oświatowa Koła Warszawskiego Tow. Rodziny Wojskowej zorganizowała dla żon i rodzin oficerów i podoficerów kursy języka francuskiego. Zapisy przyjmowane są w Sekretarjacie Towarzystwa: Al. Szucha 14.

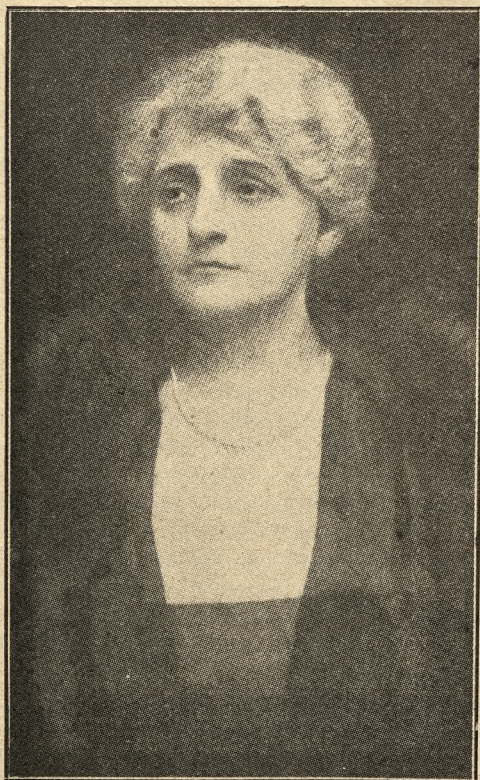
Byłoby niezmiernie pożądane, aby Rodzina Wojskowa, której działalność rozwija się tak intensywnie w kierunku doskonałego organizowania życia swych członków we wszystkich dziedzinach, pomyślała o prowadzeniu takich kursów przez korespondencję. Metoda ta, ogromnie rozpowszechniona na Zachodzie, daje możliwość zdobycia lub uzupełnienia wiedzy każdemu, oddalonemu od jej ośrodków. A ileż to rodzin naszych wojskowych mieszka, z powodu służby mężów, w miejscowościach, w których niemożliwe jest zdobycie dobrych lekcji języków. Dla nich taki kurs korespondencyjny byłby niezmiernie pożądany.

KOBIETY BĘDĄ TERAZ „FIGARAMI“ I BĘDĄ NIEZŁE ZARABIAŁY.

W ostatnich czasach Związek Fryzjerów zarejestrował cztery nowe członkinie, jako fryzjerki męskie. Znacznie więcej pań przygotowuje się do tego zawodu, ucząc się golenia. W Poznaniu jest już znaczna liczba fryzjerek męskich. Adeptki bardzo sobie chwalą nowy fach, gdyż jest on popłatny. Zdolna fryzjerka, o ile tylko ma pracę, zarabia 100 zł. tygodniowo, najmniejszy zaś dochód, w czasach letnich, ogórkowych, wynosi 50 zł. tygodniowo. Jest to korzystniejsze, niż manicure, wielu bowiem ludzi jest zdania, że... ostatecznie, bez tego można się obejść, bez golenia zaś — ani rusz.

JAK PRACUJĄ INŻYNIERKI ANGIELSKIE.

Dziesiąty rok istnienia liczy założone w r. 1920 w Anglii Stow. Kobiet-Inżynierów, W tym krótkim czasie zdołało rozwinąć się doskonale, gromadząc liczny zastęp członkiń, zarówno starych, wytrawnych inżynierek, jak i młodzieży, wstę-



Lady Moir, przewodnicząca Tow. Kobiet-Inżynierów.



Członkinie Tow. Kobiet-Inżynierów zwiedzają dok Jerzego V.

pującej na drogę tego, nowego do niedawna dla kobiet, zawodu. Ogromny rozwój techniki w krajach anglosaskich daje szerokie pole kariery zdolnym inżynierom, a kobiety angielskie dzielnie dotrzymują kroku swym kolegom.

Stow. Kobiet-inżynierów wydaje własne pismo „The Woman Engineer“ — ciekawy miesięcznik, ozdobiony licznymi ilustracjami nowoczesnych cudów techniki, w których wykonaniu biorą już dziś udział liczne członkinie stowarzyszenia. Ostatnio odbyło się doroczne zebranie towarzystwa z bogatym programem konferencji, zwiedzania różnych instytucji i wybieżek.

A WIĘC NIE POWINNO BYĆ ZŁYCH MAŁŻEŃSTW.

Świeżo odbył się w Londynie odczyt p. Vaughan. Na podstawie niektórych teorii z zakresu psychofizjologii i licznych przykładów życiowych, prelegentka dowodziła, że długie pożycie wspólne małżonków prowadzi do wytworzenia u nich identycznych cech psychofizjologicznych. Stają się, mianowicie, podobni w ruchach, wyrażeniach, w dźwięku głosu, a niekiedy podobieństwo to występuje w wyrazie, a nawet w rysach twarzy.

Hipoteza ta nie jest nowa, nie poraz pierwszy już o niej słyszemy. Od pewnego czasu śmielsi teoretycy utworzyli koncepcję t. zw. ideoplastyki. To znaczy, że organizm ludzki posiada niezbadaną dotąd właściwość ucieleśniania i narzucania kształtów. Tem możnaby tłumaczyć wytwarzające się z czasem podobieństwo fizyczne.

Ta sama ideoplastyka działa o wiele silniej w dziedzinie psychicznej. I tu wpływ jej widzimy b. wyraźnie, nie tylko u małżeństw, ale wielokrotnie nawet u ludzi obcych, stale przebywających razem. Bardzo często obserwować możemy objawy ten wśród młodzieży. Długoletni np. koledzy szkolni i przyjaciele, tak samo chłopcy, jak i dziewczęta, wykazują nieraz uderzające podobieństwo, zwłaszcza w dźwięku głosu i sposobie wyrażania się.

Skoro jednak tak jest, to naprawdę niezgodne małżeństwa muszą podwójnie przypisać sobie samym winę. Mając bowiem sposób tak wybitny wzajemnego oddziaływania na siebie, mogą łatwo wytworzyć harmonijne współżycie.

Spotkanie

208

Witaj, drogi przyjacielu, wyznać szczerze trzeba,  
 że przybyło Ci urody — cerę masz efeba...  
 — Cud przemiany tej odkryję bez wynagrodzenia:  
 Bo używam „PRZEMYSŁAWKI“ mydła do golenia.



# Konkurs na najlepiej prowadzoną Książkę Rachunkową

Ostatni dzień października wybrany został w całej Europie, jako dzień propagandy oszczędności. Potrzeba jaknajintensywniejszego wprowadzenia w życie zasady racjonalnej oszczędności, prowadzącej do podniesienia krajowego bogactwa i dobrobytu, narzuciła się ze zdwojoną siłą po wojnie, z chwilą powrotu do normalnych warunków i konieczności nowego organizowania życia. To też już w roku 1924 odbył się pierwszy międzynarodowy Kongres Oszczędności w Medjolanie, na którym wybrano dzień zakończenia zjazdu, 31 października, jako dzień, mający być stale poświęcony propagandzie oszczędności. Dzień ten powinien uprzytomnić nam dwie zasady: że oszczędność jest jedną z podstaw dobrobytu i że nie może być wprowadzona w życie bez dobrej rachunkowości.

Tylko prowadzenie ścisłych rachunków naszych dochodów i wydatków umożliwi nam ułożenie normalnego budżetu, z uwzględnieniem wszystkich potrzeb, dając nam jasny obraz, na co ile wydajemy i czy wydajemy zgodnie z przychodem i potrzebami. Schemat takich wydatków, uwzględniający wszystkie konieczne rubryki, trudno jest ułożyć samemu. Pragnąc ułatwić to zadanie każdej kobiecie, dać gotowy wzór, w braku którego niejednokrotnie, nie mogąc zebrać się samej na jego ułożenie, zapisuje się wadliwie, lub nie zapisuje wcale. Tow. Wyd. „Bluszcz” wydało

## „KSIĄŻKĘ RACHUNKOWĄ KOBIETY POLSKIEJ“

W dokładnie i przejrzystość ułożonych rubrykach uwzględnia to wydawnictwo różne pozycje dochodów, oraz wszelkich wydatków, jak życie, mieszkanie, służba, ubranie, kształcenie dzieci, rozrywki, oszczędności i t. p. Prowadząc tę książkę, każda pani domu będzie mogła po pewnym czasie zdać sobie dokładnie sprawę z całej rozpiętości budżetu domowego, określić jego normę, wiedząc, na jakich rubrykach można poczynić niezbędne oszczędności.

**Dla zachęcenia do tej pracy i uwidocznienia metody najlepszego wykorzystania ułożonego wzoru, Tow. Wyd. „Bluszcz” ogłasza konkurs na całoroczne prowadzenie „Książki Rachunkowej Kobiety Polskiej“**

**z nagrodą 500 zł.**

za najdokładniejsze prowadzenie rachunków podług szematów, w książce zawartych, i najracjonalniejsze rozłożenie sum na poszczególne rubryki, przyczem głównym motywem przyznania nagrody będzie, oczywiście, nie wielkość budżetu, ale najekonomiczniejsze i najbardziej wartościowe zużytkowanie, choćby bardzo skromnego dochodu, z uwzględnieniem rubryki oszczędności.

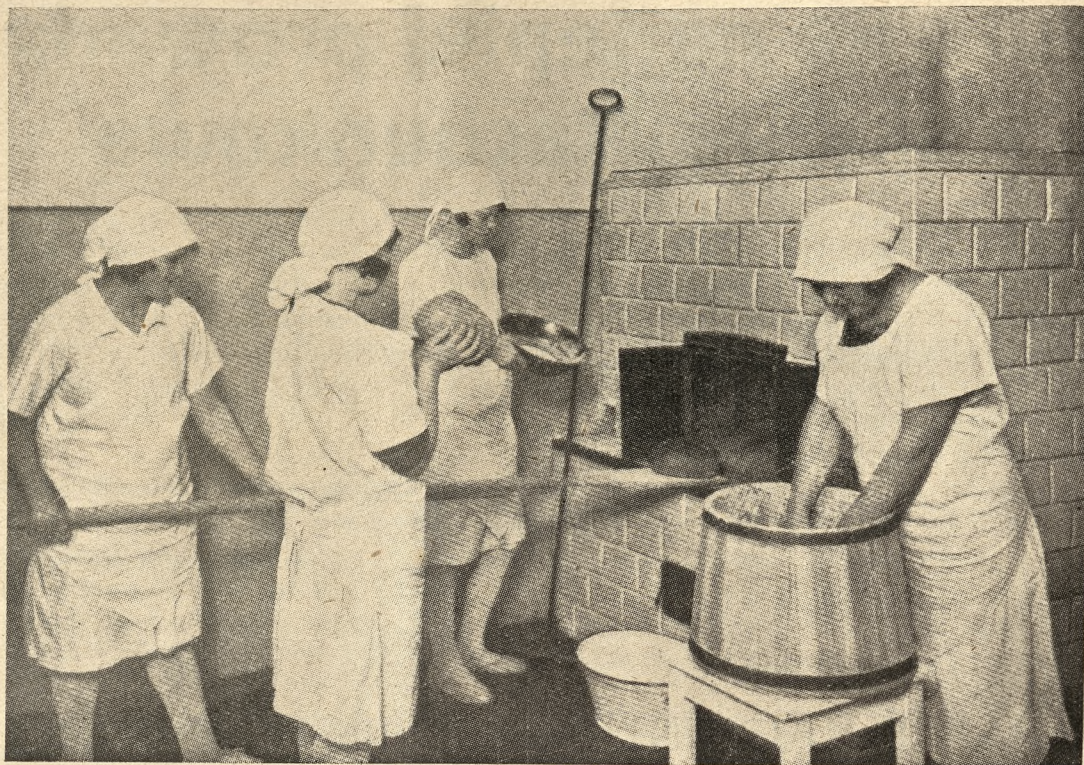
Czas prowadzenia książki — jeden pełny rok, poczynając od 1 listopada r. b., do 31 grudnia 1931 r. Zakończoną książkę należy opatrzyć godłem, wypisanem na wewnętrznej karcie tytułowej, w rubryce, pozostawionej na wpisanie nazwiska. To samo godło napisać na kopercie, zapieczętowanej i zawierającej imię, nazwisko i dokładny adres właścicielki książki, stojącej do konkursu. Poczem książkę wraz z kopertą przesłać przesyłką poleconą do TOW. WYD. „BLUSZCZ”: WARSZAWA, PLAC ZAMKOWY 9.

Termin nadsyłania książek: do końca stycznia 1931 r. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w lutym 1931 r.

Jury konkursu stanowią: P. Halina Przesmycka, viceprzewodnicząca Koła Studjów Gospodarstwa Domowego, P. Bolesław Mrozowski, sekretarz Rady Zjazdów Instytucyj Oszczędnościowych w Polsce, P. Kazimierz Słomski, redaktor Czasopisma Kas Oszczędności, P. Elżbieta Kiewnarska, autorka „Książki Rachunkowej Kobiety Polskiej” i P. Marja Podhorska-Okolów, redaktorka „Bluszcza” i „Kobiety w Świecie i w Domu”.

„Książkę Rachunkową Kobiety Polskiej” nabyć można w Tow. Wyd. „Bluszcz”, Warszawa — Plac Zamkowy 9, w cenie 4 zł. (z przesyłką pocztową 4 zł. 50 gr.), oraz we wszystkich większych księgarniach.





w piekarni

## PLACÓWKI GOSPODARCZE DLA KOBIET

V. Nauczanie gospodarstwa domowego.

Dochodzimy dzisiaj, po rozpatrzeniu poszczególnych placówek pracy gospodarczej, do najważniejszej — do tej, która decyduje o dobrobycie rodziny i państwa, o zdrowiu jednostek i ogółu, o sile produkcyjnej robotnika i o fizycznym rozwoju polskiego narodu.

Tą pracą jest gospodarstwo domowe, czynnik w najwyższym stopniu państwowo twórczy i pacyfistyczny.

Tak jest — choć to się może na pierwszy rzut oka wyda śmiesznym twierdzeniem. Jest to czynnik zgody nie tylko między żoną i mężem, ale nie ulega wątpliwości, że naród, który posiada najlepiej zarządzane gospodarstwa domowe, będzie miał najmniej skłonności do prowadzenia wojny; może to także wpłynąć na ogólny jego dobrobyt, bo wszak nie jest już tajemnicą, że przez kieszonkę gospodyni przechodzi około 60% wszystkich pieniędzy, wydawanych w kraju. Jasnym więc jest, że każdy procent, oszczędzony lub, naodwrot, zmarnowany w gospodarstwie domowym, wpływa na stanowisko międzynarodowe danego państwa więcej i nawet istotniej, niż targi między politykami na konferencji haskiej.

W tem oświeteniu sprawa nauki gospodarstwa domowego nabiera osobliwego znaczenia. Przestaje to już być sprawa babska, której alfą i omegą jest

służąca, i staje się ważkim czynnikiem ekonomicznym, którego niepodobna zdobywać mniej lub więcej skutecznym doświadczeniem, ale trzeba się poważnie uczyć.

Z chwilą, gdy przygotowanie do gospodarstwa domowego zostaje dźwignięte do poziomu nauki, zmienia się stosunek do niego całego społeczeństwa; to przewartościowanie następuje u nas później, niż w krajach zachodnich, ale jednak rozpoczęło się już od lat kilku i z każdym rokiem rośnie szybciej i energiczniej. Jednocześnie wzrasta zapotrzebowanie sił nauczycielskich i dziś przekracza o wiele liczbę osób, rzeczywiście uzdolnionych i gruntownie przygotowanych do nauczania.

Wraz z zapotrzebowaniem wzrastają także wymagania, stawiane nauczycielkom, przygotowanie ich musi się do tego przystosowywać; nowe zakłady naukowe przybywają, a te, które są, przekształcają się, podnoszą cenzus wykształcenia, przedłużają lata nauki, ulepszają urządzenia i metody nauczania.

Wyniki tej pracy, kierowanej z dużym pogłębieniem przez p. Zaborowską, szefa wydziału żeńskiego szkolnictwa zawodowego w Ministerstwie Oświaty, były bardzo interesująco przedstawione na Wystawie Poznańskiej. Różne wykresy, tablice, ze-



szyty uczennice znaczyły wyraźnie drogę, przebytą w ciągu ubiegłego dziesięciolecia.

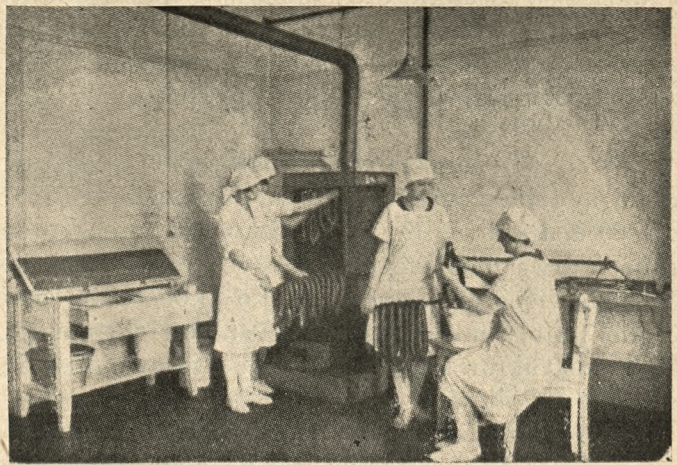
Jeszcze w 1918 r. panowało zarówno w Ministerstwie, jak i w społeczeństwie przekonanie, że roczny kurs nauki w seminarjum w zupełności wystarczy dla wyrobienia biegłych nauczycielek gospodarstwa.

Wkrótce rozszerzono kurs na dwuletni, z klasą przygotowawczą dla uczennic ze wsi, które ukończyły szkołę powszechną i rolniczą. W 1925 r. zmieniono nazwę kursu na seminarjum, zachowując jednak uprzedni program; ale życie i jego wymagania rozsądzały ramy ciasnego programu, opartego na słabym przygotowaniu uczennic, to też w 1926 r. seminarjum dostało nowy statut i program; czas trwania nauki rozszerzono do 3 lat, a kandydatki przyjmowane są tylko po ukończeniu 6-ciu klas gimnazjum, albo średniej szkoły gospodarczej, i poddawane egzaminowi konkursowemu, od którego wolne są tylko maturzystki.

Jednocześnie wprowadzono liczne i coraz dalej idące zmiany w urządzeniu; nieracjonalną naukę przy jednej wielkiej kuchni zastąpiło laboratorium dla 18 uczennic, w którym praca może być prowadzona indywidualnie. Stopniowo przechodzą uczennice do gotowania grupami, czyli rodzinami, wreszcie gotują samodzielnie.

Piekarnia, śpiżarnia, wyrób wędlin, pralnia — zaopatrzone zostały w praktyczne i zupełnie nowoczesne urządzenia, przy których wykonywaniu rzemieślnicy nasi wykazali pomysłowość, rzadko u nas spotykaną; zwykle nie otrzymują oni w tym kierunku żadnej pobudki z zewnątrz, i dlatego polskim urządzeniom domowym brak wszelkiego komfortu, spotykanego w mieszkaniach zagranicznych.

Program teoretyczny uległ też wielkim zmianom z chwilą, gdy pozyskano dla seminarjum, jako kierowniczkę, p. Komornicką, a personel nauczyciel-



przy przetworach mięsnych

ski grupuje pierwszorzędne siły, jak p. Laskowska (inż. chemji) i inne.

Program, ustalony w 1928 r., obejmuje 3 grupy:

1. **Przedmioty zawodowe praktyczne**, stanowiące ośrodek nauki i zaznajamiające uczennice z całokształtem zajęć w kuchni i piekarni, pralni i szwalni.

2. **Przedmioty zawodowe teoretyczne**: Teorię gospodarstwa, chemja i towaroznawstwo, anatomja, fizjologja, higjena ogólna i higjena dziecka, rachunkowość i prowadzenie kancelarji szkolnej — przedmioty te dają podstawy naukowe dla praktycznej działalności i pogłębienie pracy zawodowej.

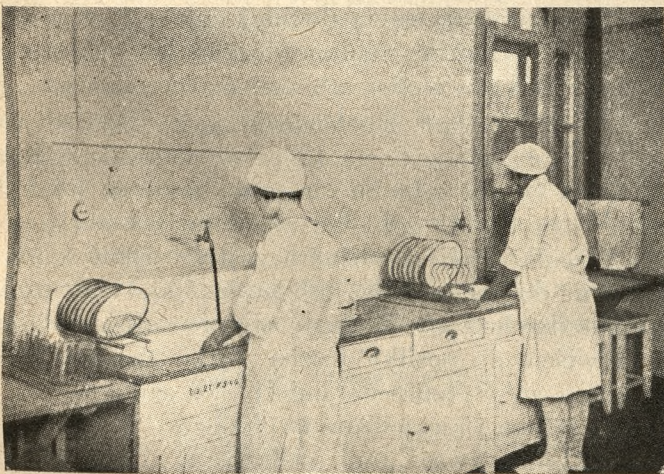
3. **Przedmioty ogólnokształcące**: Religja, język polski, nauka obywatelstwa — przygotowują uczennice do poczucia szeroko pojętej etyki i odpowiedzialności społecznej oraz do prowadzenia wykładów czystym, pięknym językiem ojczystym.

Gotowanie obejmuje sporządzanie posiłków — od prostych do wykwintnych — ułożonych na podstawie racjonalnego jadłospisu z uwzględnieniem taniałości i dobrego smaku.

Piekarstwo i cukiernictwo, przetwory owocowe, jarzynowe i mięsne, wyrób win owocowych traktowane są obszernie.

Krój, szycie i reperacja, pranie ręczne i maszynowe bielizny i ubrań, czyszczenie chemicznymi sposobami, utrzymanie domu i kuchni we wzorowym porządku przy użyciu prostych i tanich sprzętów — daje całokształt wiadomości w zakresie utrzymania domu.

Bardzo wyczerpująco prowadzony jest dział higieny, obejmujący zajęcia praktyczne z małemi dziećmi, a koronę wykształcenia tworzy nauka obywatelstwa, która przygotowuje do życia w społeczeństwie i państwie, rozwija uczucia społeczne, kształci sumienie obywatelskie, wyjaśnia związki, łączące pokolenia w historii i jednostki w rodzinach, grupach społecznych i państwach, wreszcie — narody



zmywanie naczyń



w ludzkości. Zasadnicze wiadomości o społeczeństwie i państwie dopełniają ten dział, od niedawna wprowadzony przez p. Zaborowską, a opracowany przez znakomitą polską obywatelkę — p. Helenę Witkowską.

W chwili obecnej w seminarjum warszawskim, mieszczącym się przy ul. Nowowiejskiej 57, jest 100 uczennic, w tej liczbie 18 na rocznym kursie gospodarstwa domowego, dla osób, które nie zamierzają poświęcić się nauczaniu. Po ukończeniu seminarjum absolwentki mogą objąć stanowiska nauczycielek instruktorek gospodarstwa, kierowniczek internatów szkolnych.

Oprócz seminarjum warszawskiego istnieje seminarjum w Krakowie (na Pędzichowie Nr. 6) pod kierunkiem p. Strassburgerówny; warunki przyjęcia i program są takie, jak w Warszawie; oba te seminarja nie posiadają internatów.

O szkołach, przygotowujących do nauki gospodarstwa na wsi, napiszę w następnym rozdziale, gdyż stanowią one grupę zupełnie odrębną. *M. Karczevska*

## ROZUMNA OSZCZĘDNOŚĆ W GOSPODARSTWIE DOMOWYM

Po wojnie ciężkiej i długiej, szczęśliwie jednak dla Polski zakończonej odzyskaniem niepodległości, stosunki materialne zupełnie się zmieniły. Inteligencja pracująca, mająca duże wymagania kulturalne, zarabia tak mało, że jej stopa życiowa musi podlegać poważnej redukcji. W Ameryce potrzeby inteligenta i robotnika dawno się zrównały, zarobki są też mniej więcej równe. U nas zarobki robotnika poważnie urosły, pracownika umysłowego przeważnie zmalały.

Ludzie, jeżeli nie mogą, to przynajmniej boją się zakładać ogniska rodzinne. Uważają, że połączenie dwóch bied w jedną większą biedę jest znacznie gorsze, niż życie samotne. Jak mylnem jest takie mniemanie, dowodem służą małżeństwa francuskie i amerykańskie, gdzie przy bardzo ograniczonych środkach rządność kobiety, praktyczność, gospodarność, drobiazgowość a celowa oszczędność — dają możność o wiele lepszej egzystencji, niż ta, która była udziałem byłego kawalera i byłej panny.

Jeżeli przyjąć za normę, że trzy czwarte budżetu każdej rodziny przechodzi przez ręce kobiety — gospodyni domu — zdamy sobie sprawę, że od niej tylko, od jej roztropności zależy zastosować się do posiadanych środków i wyzyskać je najlepiej i najwyszczepniej. Mówię tutaj o kobiecie w rodzinie, choć w czasach obecnych setki i tysiące kobiet, pracujących na siebie, tej rodziny własnej — męża i dzieci — nie mają, ich budżet jest równie szczupły, a jednak życie swoje tak urządzić potrafią, takim się otoczyć

komfortem, tak estetycznie swój „home“ urządzić, że nikomu nawet na myśl nie przyjdzie analizować, jak wiele pomysłowości, pracy i oszczędności w to urządzenie własnego życia włożono.

I gospodynię domu, matkę rodziny i kobietę samotną obowiązuje jaknajdalej idąca oszczędność. Oszczędność nie tylko w wydatkach, w podziale pieniędzy pomiędzy różne rubryki potrzeb domowych; jeszcze ważniejszą jest oszczędność czasu, oszczędność sił i pracy własnej i naszych pomocnic i zastępczyń, oszczędność miejsca w coraz szczuplejszych mieszkaniach.

Przedewszystkiem należy dokładnie odróżnić, zupełnie nawet rozgraniczyć dwa pojęcia: oszczędność i skąpstwo. Oszczędność powiększa dobrobyt, komfort — skąpstwo pozbawia ludzi wygód, do których mają prawo, na które ich stać.

W codziennym odżywianiu rodziny i domowników oszczędność nie polega na głodzeniu ich, na odmawianiu im rzeczy smacznych, pożywnych — lecz na doskonałym zastosowaniu produktów, na wyzyskaniu maksymalnej ich wartości smakowych i odżywczych, na zużytkowaniu wszystkiego, co się da użyć, na niemarnowaniu najmniejszych drobiazgów, na dokładnym wykorzystaniu resztek. Kiedy byłam małym dzieckiem, stara niania powtarzała mi codziennie, że rzucać chleb na podłogę jest grzechem. Otóż takim grzechem jest wyrzucić cokolwiek, coby się zjeść jeszcze dało. Jeśli sami tego już nie potrzebujemy, oddajmy biednym — tych biednych wkoło nas są setki i tysiące.

Do niektórych sposobów marnowania produktów spożywczych tak przywykliśmy, że nie zwracamy na to najmniejszej uwagi. Wiemy, na przykład, że cukier w kawie źle się rozpuszcza. Zamiast dokładnie wymieszać kawę łyżeczką, kładziemy w nią podwójną porcję cukru — z którego połowa pozostaje na dnie szklanki lub filiżanki. Po przyjęciu popołudniowym domyć się nie można tych filiżanek, tak są lepkie od syropu, w taki sposób powstałego. Otóż — dyby sama **gospodyni** lub jej zastępczyni, nalewając kawę, wysypała sama do niej cukier i w gorącej zamieszała łyżeczką, cukier doskonaleby się rozpuścił i nie byłoby niepotrzebnego marnotrawstwa.

Inny przykład. Kucharki mają zwyczaj wyrzucać do kubła włoszczyznę, która się gotowała w rosolu, i kości wraz z żyłkami i mięsem, użyte na smak do zup kwaśnych lub zabielałych. Z tej włoszczyzny i tych kawałków mięsa można nazajutrz zrobić sałatkę, nadzienie do pasztecików, lub zapiec, jako siekaninę w muszelkach. Kartofli nigdy się nie gotuje tyle, ile rzeczywiście do posiłku trzeba, tylko znacznie więcej, resztę się wyrzuca do śmieci. Toż samo się dzieje z nakrajanym i niezjedzonym chlebem.

Wszelkie uwagi pani, zrobione w tym kierunku, są uważane za dziką fantazję, za kaprys, za objaw skąpstwa. Tylko codziennym powtarzaniem, tylko



własnym przykładem, można będzie czasem przekonać te panie, że nie wolno marnować niczego, czemby się biedniejszy od nas mógł pożywić.

Jeszcze większą oszczędność można zastosować w ubraniu. Nie żebym miała radzić kobietom, aby się źle ubierały. Daleką jestem od tego. Kto lubi stroje i ma na nie, niech ich używa dowoli. Tylko niech każdą rzecz szanuje, nosi ją porządnie, nie niszczy przez niedbalstwo. Bielizna, na przykład, reperowana porządnie przed każdym praniem, przesuszona i wietrzona na słońcu latem, trwa dwa razy dłużej. Futra, dokładnie trzepane, i chronione od moli, prawie całe życie ludzkie przetrwać mogą. Obuwie, starannie czyszczone, chronione od wilgoci, wczas zelowane — do końca ładnie wygląda i fasonu nie traci. W kwestjach ubrania praktyczna osoba nigdy nie kupuje rzeczy tanich, tandety. Dobry materiał da się przerobić z ojca na syna, z matki na córkę, dalej nawet na drobne dzieci i do końca będzie wyglądał dostatnio i solidnie.

To samo, co do ubrania, można zastosować do umeblowania, do naczyń stołowych, do sprzętów kuchennych. Staranie około ich porządnego utrzymania, około ich konserwacji, reperacja wszelkich uszkodzeń, wczas wykonana, opłaca się stokrotnie ich długoletnią trwałością, ich przyzwoitym wyglądem. Dywany, sprzątnięte na lato, meble, ochronione pokrowcami od jaskrawych promieni letniego słońca, złocone brzozy, przykryte od much i pajaków — będą przyzwoicie wyglądały przez długie lata i przejdą w dziedzictwie z pokolenia na pokolenie.

Powiedziałam wyżej o oszczędzaniu miejsca. Jest to rzecz konieczna dzisiaj, kiedy przy braku mieszkań coraz bardziej się kurczą lokale pracującej inteligencji, kiedy, nie mówiąc już o bezdzietnych małżeństwach, rodziny całe w jednym nieraz pokoju gnieździć się muszą.

Tutaj kobieta, obdarzona gustem i praktycznym zmysłem, cuda zdziałać potrafi. Na przestrzeni kilkunastu metrów kwadratowych zdoła zmieścić miły, wypoczynkowy kącik, zastępujący salon, ustawić rozmaite kanapy i kuszetki, na noc zmieniające się w wygodne łóżka: stoły ze stołów do pracy zmieniają się na jadalne i odwrotnie. Parawaniki, gustownie ustawione, kryją umywalnie lub urządzenia kuchenne.

Z pomocą w zaprowadzeniu wszelkiego rodzaju racjonalnych oszczędności przychodzi współczesnej kobiecie naukowa organizacja, normalizacja prac domowych. Mamy szeregi narzędzi praktycznych i ła-

twoch do użycia, które oszczędzają czas i siły nasze i pomocniczych. Znając wartość czasu, planujemy sobie rozkład dnia w taki sposób, aby na wszystko, tego czasu starczyło — na dom i na pracę zawodową, na odpoczynek i na rozrywki. Nie mam sposobu dać jednej, pewnej recepty na podział prac domowych, choć dużo się mówi o ujednostajnieniu, o standaryzacji życia u nas na wzór istniejącej podobno, takiej standaryzacji w Ameryce. My, polacy, jesteśmy na to zbyt wielcy indywidualiści. W każdym domu są inne gusta, inne przyzwyczajenia, inne tradycje. Wystarczy, jeżeli, chcąc oszczędzić czas własny i cudzy, ułożymy taki porządek dnia, aby jedno zajęcie nie przeszkadzało innemu, aby przy każdym możliwie najwięcej zaoszczędzić siły.

A jeżeli chodzi o to, co się zwykle u nas nazywa oszczędnością — to jest o stosowanie wydatków do dochodów — to jedyne, co nam w tem dopomóc może, jest dobrze ułożony budżet domowy i na zasadzie takiego budżetu prowadzona dokładnie, z dnia na dzień, książka rachunkowa. Książka taka nie tylko zapisy dziennych wydatków według rubryk zawierać powinna: musi się w niej mieścić inwentarz naczyń, sprzętów, sreber i t. p., spis ubrań, bielizny, obuwia i t. p.; powinny w niej być wyszczególnione zapasy spiżarniane: konserwy, napoje.

Książka taka — to dla gospodyni stała ewidencja stanu posiadania, a po skończonym roku materiał do ułożenia nieomylnego budżetu na rok następny; materiał do wprowadzenia poprawek w poszczególnych kategoriach wydatków, pokaz umiejętności prowadzenia domu, rządności i rozumnej oszczędności.

*Pani Elżbieta*

## STROSZKA

(dokończenie-)

Kiedy we wrześniu 1927, rzucony do gimnazjum w Rawiczu (tuż nad granicą niemiecką w południowej Wielkopolsce), zacząłem grasować po tamtejszych lasach i zaroślach, śmiano się ze mnie na widok dzień w dzień znoszonych skrętnie naręczy stroszek. I tam bowiem zwano je muchomorami i kopano zawzięcie. Ale cierpliwość moja i zajadłość w zbieraniu tych grzybów rozbudzała stopniowo coraz bardziej ciekawość rawiczian. Ktoś wreszcie odważniejszy spróbował kotletu ze stroszki: a widząc na drugi dzień, że jeszcze żyje, pognął co tchu w akacjową gęstwinę pod wojskową strzelnicą, gdzie stroszek rosną tysiące. Po mieście gruchnęło; zaczęto przyrządzać kotlety i — do tygodnia musiałem już o świcie gonić pod strzelnicę, jeśli zdobyć chciałem stroszek choć kilka. Radość mnie brała na widok owych masowych stroszko-brzań zwłaszcza w niedzielę. Calusieńki Rawicz, jak żyw, ciągnął pod strzelnicę na poszukiwania. A bywało zawsze grzybów tych tyle, że już nikt nie brał

## Przyjaciółki

198

*Powiedz mi, kochana, co Ty robisz w lecie,  
że masz twarz matową, gdy moja wciąż śmieci?  
Odpowiem otwarcie: dla mnie to zabawka:  
Twarz odświeża świetnie ŻAKA „PRZEMYSŁAWKA”.*



całych, jedynie same kapelusze, trzony odrywając na miejscu i porzucając je na ziemię.

A w zimie tegoż roku Rawicz poprosił mnie o prelekcję publiczną. Naliczywszy 68 osób, kazałem na koniec prelekcji przygotować olbrzymi garnek wody gorącej i tyleż, co słuchaczy, szklanek z łyżeczkami. Skończywszy prelekcję, wyjąłem z zawinięcia słoik z twardą, czarną mazią, z której biorąc na koniec łyżeczki, wkładałem do szklanek, napełnionych ukropem. Każdy dostawał teraz szklankę, pomieszał parę razy, a otrzymawszy czarniawy płyn jednolity, kosztował.

— Jakież to pyszne!

A inny: — Wyborne!

A znów inny: — Bajeczne! proszę jeszcze!

Zrobił się radosny gwar, ruch nieopisany! Wreszcie wszyscy prawie chórem zaczęli krzyżeć:

— Ale, co to jest? z czego to? z jakich grzybów?

Uciszywszy rozgwar, zakończyłem prelekcję temi słowy:

— Pamiętacie państwo, jak jesienią chadzaliście pod strzelnicę na „sowy”? Nie chcieliście zabierać trzonów, bo wam ciężko, więc wyrzucaliście je za siebie. Ale był ktoś, co, nie zazdrosząc wam sów, zbierał za wami porzucane trzony. Potem krajał je, suszył, wreszcie wszystko to wygotował parokrotnie, a zgęściwszy mocno odwar, otrzymał zeń gęstą, czarną mazi. Ją to, rozpuszczoną w wodzie, piliście obecnie, ani przypuszczając, że tak smakować może to, co parę miesięcy temu porzuciliście ze wzgardą!

Od tego czasu, rawiczanie, ba! w mig bojowanie, lesznianie i wszyscy wokół biją się o stroszki, które zeszłej jesieni opanowały i targowiska poznańskie, tak, że tego już roku czytać możecie Państwo stale w sprawozdaniach targowych miasta Poznania, obok borowików i „kurków” (lisie), na miejscu trzecim w rzędzie najbardziej pokupnych grzybów „sówki”, a po nich dopiero „grzyby mieszane”.

Prawdziwie rzewna ta historia zdobycia przez stroszkę strzelistą prawa obywatelstwa kulinarnego w całej Wielkopolsce, powinna i Was, Szanowne Czytelniczki „Bluszczu”, zachęcić do naśladownictwa. Tembardziej, że nie zapomnieliście jeszcze pewnie grzybowego skandalu, jaki miał powszechnie miejsce w „Królestwie” w latach 1925 do 27, a jaki i dziś jeszcze zdarza się tam tu i ówdzie, z... epidemicznie występującą manją samobójstw, jaka zwłaszcza w roku 1926 poruszyła do gruntu opinię publiczną Warszawy. Szukaliście winy tego w lekkomyślności ludzi, w ich rozpasaniu płciowym, w alkoholizmie, we wszystkim zresztą, tylko nie — w „tęgoscórce po-

spolitym”. Straszny w skutkach ten grzyb, a pospolitszy od muchomora czerwonego, zdobył szybko targowiska zrazu Warszawy, potem „Królestwa”, wreszcie całej niemal Polski, pod mianem „polskiej truflki”. Kto pierwszy wystąpił z tem zbrodniczem nieuctwem — niewiadomo; pewne to tylko, że się owa „trufla polska” szalenie szybko przyjęła.

Na szczęście, truflki używa się tylko na smak; ale byli i tacy, co tęgoscóra użyli na potrawę; i ci pomarli nagle. Gorzej było jednak z tymi, co zjadali mniej, na przyprawę. Bo po chwilowem omdleniu i po kilkotygodniowych niedyspozycjach kiszkiowych, ni by już zdrowi, poczynali się coraz bardziej wszystkiego bać, zwłaszcza pustej przestrzeni, ulicy, wreszcie i własnego mieszkania; aż po kilkomiesięcznej nieraz męczarni rosnącego wciąż strachu przed dniem, nocą i snem, nie mogąc życia takiego znieść, odbierali je sobie sami, nieszczęsne ofiary smakoszostwa i... nieuctwa polskiego!

No, i pomyśleć, że rozkoszować się mogli stroszką, i żyć jeszcze długie lata, i chwalić za nią Boga!...

A teraz kilka przepisów.

*Kotlet z stroszki strzelistej.* Proszę wziąć same kapelusze, obmyć całe w zimnej wodzie szybko, lecz delikatnie, by nie poobrywać łusek, osuszyć na sicie (drewnianem lub włosianem), obtoczyć w mące, w rozbitem i do smaku posolonem jajku, wreszcie w tartej bulce i rzucić na patelnię na świeże, dobre masło. Smażyć, jak zwykle kotlety, podając zaraz na stół.

*Buljon z trzonków stroszki strzelistej.* Trzonki całe, t. j. wraz z bulwą, oczyścić z ziemi, pokrajać na podłużne kawałki, wielkości małego palca, porozkładać na czystych bibułach i wysuszyć na miernie ciepłym piecu. Zebrawszy większą ilość suszonych trzonków, włożyć je do garnka kamiennego, zalać zimną wodą i gotować tak, by wrzały 15 minut, poczem odwar odlać do innego kamiennego garnka. Wygotowane grzyby zalać powtórnie wodą, tym razem wrzącą, i gotować 20 minut. Odwar nowy wlać do pierwszego; wreszcie zalać grzyby jeszcze raz ukropem i gotować 30 minut, odlewając otrzymany odwar do pierwszego.

Teraz grzyby wyrzucić, a odwar postawić na blasze i wolno gotować, by silnie parował. Gdy zgęstnieje, posolić do smaku, wymieszać dobrze drewnianą, nową łyżką, zeskrobując dobrze osad z dna i ścian (wartościowe sole mineralne) i gotować, jeszcze wolniej i ostrożnie, by się nie przypalił. Gdy nabierze gęstości syropu, wlać w rozgrzane słoiki i zwolna ostudzić. Otrzymany gęsty, czarny buljon jest nieograniczenie trwały, mocny i, rozpuszczony w gorącej wodzie, daje przesmaczny i bardzo pożywny rosół.

**Dr. J. ŚWITALSKA** POWRÓCIŁA I ORDYNUJE, WARSZAWA  
KRUCZA 31.

Kosmetyka leczn., choroby skóry.



Wreszcie:

*Budyń ze stroszki strzelistej.* Młode stroszki (w postaci pałek do bębnow) oczyścić, obmyć szybko w zimnej wodzie i drobno pokrajać. U tych młodych grzybów miękki jest i trzon, więc brać wraz z trzonem.

Pokrajane wrzucić do kamiennego garnka, zalać przegotowanym mlekiem słodkim (po wierzech grzybów) i gotować, by wrzały 15 minut.

Osobno ugotować, jak zwykle, ryż z cukrem i rodzynkami, do ugotowanego wlać grzyby z mlekiem, wymieszać i gotować aż do zgęstnienia, wreszcie wypiec w formie, jak zwykle budyń.

Do leguminy tej użyć można i stroszek suszonych (kapeluszków) starszych, co zwłaszcza w zimie miło i smacznie urozmaica menu.

Stroszka strzelista rośnie do końca jesieni, przeważnie w liściastym gąszczu na piaskach, lub w wysokiej trawie, choć nie brak jej i w lasach szpilkowych. Podobna do niej, lecz niższa i o czerwono zachodzącym w przekroju mięsie, stroszka strzępiasta (*Lepiota rhacodes*) jest jeszcze smaczniejsza! Rośnie przeważnie w gęstwinach parków, choć nierzadko i na śmietniskach, pokrytych gęstwą chwastów i krzaków.

Inne gatunki stroszek pod względem kulinarnym nie zasługują na uwagę. *Prof. Feliks Teodorowicz.*

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### TARTLETKI Z TRUSKAWKAMI Z KONSERWY

Mamy teraz tak wyborne truskawki krajowe w konserwie, że całą zimę możemy mieć tartletki z truskawkami. Zrobić, jak zwykle, kruche ciasto z pół kilo mąki, ćwierć kilo masła i pół szklanki cukru, dodając tyle śmietanki, mleka lub wody, aby się ciasto dało wałkować. Jajko można dodać, ale nie jest niezbędne. Wyłożyć tem ciastem tortową formę (niezbyt wysoki, tak na trzy cale wysoki robiąc brzeg) i upiec na rumiano. Ostudzić. Półkilową puszkę truskawek otworzyć, same truskawki ułożyć równomiernie na kruchej podstawie. Sok zmieszać z wodą, aby było półtorej szklanki płynu; jeśli mało słodki, dosłodzić, wcisnąć sok z pół cytryny, wlać kieliszek rumu lub

araku i dodać cztery listki czerwonej żelatyny, rozpuszczone w paru łyżkach gorącej wody. Tą stygnącą galaretką zalać truskawki w formie i wynieść na parę godzin na chłód.

### LEGUMINA Z JABŁEK I CZARNEGO CHLEBA.

Czarny chleb żytni, czerstwy, utrzeć na tarce (powinno go być trzy szklanki). Sześć jabłek obrać ze skórki, odrzucić pestki i drobno pokrajać. Szklankę cukru utłuc z kawałkiem cynamonu. Głęboki półmisek lub nelsonkę wysmarować grubo masłem, nasypać warstwę chleba, na to takąż warstwę jabłek, posypać cukrem, znowu dać warstwę chleba, jabłek, cukru, aż się wszystko zużyje, — ostatnia warstwa powinna być z chleba. Położyć na to kilka kawałków (dobrą łyżkę) masła i wstawić w średnio gorący piec na godzinę. Podaje się w tem samem naczyniu, a do tego oddzielnie mleko lub śmietankę i, kto lubi leguminy bardzo słodkie — cukier.

### SZPROTY W OLIWIE.

Słusznie czy nie słusznie, wiele osób unika spożywania konserw z puszek, uważając je za niezdrowe. Wszelkie konserwy w occie i przeróżnych ostrych sosach, leżąc długo w blaszanych naczyniach, przejadają tę blachę i muszą się stać szkodliwe. Konserwy w oliwie, jak szproty, sardynki, makrele — nie przedstawiają tego niebezpieczeństwa, — natomiast bardzo często niesumienni fabrykanci zastępują oliwę rozmaitemi rodzajami oleju orzechowego, a nawet bawełnianego. Wyborne szproty w oliwie można przyrządzić w domu, będą one również smaczne, a o połowę tańsze od konserwowanych w puszkach.

Świeżo wędzone szproty, po usunięciu główek, ułożyć w słoju lub salaterce, położyć na nie kilka listków, kilka ziarn pieprzu i ziela, zalać dobrą oliwą, przycisnąć talerzykiem, ciężarkiem i potrzymać tak 24 godziny w temperaturze pokojowej, poczem wynieść na chłód. Chcąc, aby były trwalsze, gdyż tak przyrządzone mogą trwać najwyżej tydzień — należy je poukladać w kompotjery płaskie, zawiązać płótnem i pergaminem i zagotować, jak kompoty „au bain marie”; gotować pięć minut od chwili zagotowania, ostudzić w wodzie, aby kompotjery nie popekały, wyjąć i trzymać w suchem, chłodnym miejscu — mogą tak stać, nie zmieniając smaku, do dwóch miesięcy.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 54 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18.



# Nasza Mównica

## Głos kobiety do kobiet.

Będąc już na schyłku życia, przez ciąg jego widziałam tak wiele usterek w życiu kobiety, że chciałabym się temi spostrzeżeniami mojemu społeczeństwu kobiecemu podzielić. Tym razem chcę mówić o starości naszej, częstokroć bardzo smutnej, a może myśl moja przyda się tym, którym przyjdzie przeżywać wiek swój i stare lata. Otóż chcę zaproponować społeczeństwu kobiecemu pewien rodzaj zrzeszenia się, któreby im zabezpieczało lata stare. Chodzi o to, żeby gremjalnem zrzeszeniem się stworzyć tak nazwane przezemnie „Emerytalne ogniska dla kobiet”. Powiedzcie mi, Sz. Panie, czy którakolwiek z Was jest pewna, wchodząc w życie, że starość jej, lata niedołączne są czemśkolwiek gwarantowane? Każda z nas, wychodząc z dziewczęcych lat, marzy o mężu, który ma jej dać stanowisko i opiekę. Nawet w rodzinach utarło się wyrażenie: „chcę córkę wydać zamaż, aby ustalić ich los”. Wiemy dobrze, czem się takie ustalenia częstokroć kończyły, a zwłaszcza czem się kończą dziś w naszej powojennej epoce. Posiadanie majątku i zamażpójście nie zawsze dają nam to, co w latach podeszłych jest najbardziej potrzebne, a mianowicie: opiekę i spędzanie resztek życia w miłym otoczeniu i towarzystwie.

Niejedna z pań powie: ja mam dzieci i opiekę w starości mam zapewnioną. Na to odpowiem: dzieci można stracić z rozmaitych przyczyn. Mogą wymrzeć, mogą się rozbiec po świecie dla własnych spraw i losów i trudno je sobą krępować. A jeszcze dodać można: dzieci mogą być bardzo dobre, pamiętające o rodzicach, ale mogą też być i bardzo złe, nieobowiązkowe, egoistyczne pod wpływem tych, z którymi ich los złączył, przy zakładaniu rodziny.

A nigdy nie wiemy, pod jaki wpływ dostanie się nasz syn, lub z kim i z jakimi zapatrywaniami liczyć się będzie musiała nasza córka. Widziałam w tej dziedzinie życia niezmiernie ciężkie przykłady, które chcąc sumiennie wypełnić swoje obowiązki, zupełnie zatruwały życie i w żaden sposób pogodzić się nie dawały. Najczęściej cierpiała na tem starość, której z tego powodu nie dawano tego, co jej się słusznie należało, a jeżeli cośkolwiek matka staruszka otrzymywała, to pomoc zatruwało przeświadczenie, że to, co otrzymuje, powoduje wiele przykrości tym, dla których szczęścia chciałoby się nieba przychylić. A przytem i położenie starych matek, mieszkających się przy rodzinach, częstokroć bolesny przedstawia obraz. Rzadko w której rodzinie dostaje się staruszkom to, czego im w podeszłych

latach najwięcej potrzeba, względnie chociażby wygodne pomieszczenie i spokój. A przeciwnie, takie balasty rodzinne mieści się w byle jakim kącie, a za spożytą łyżkę stawy, goniąca resztkami sił staruszka jest od rana do nocy domowym wołem roboczym, mając na podziękę za swój krwawy trud często wielkie niezadowolenie synowej lub zięcia, a nieraz i własnych dzieci. Dzieje się to w każdej niemal sferze zasadniczo, różnica tylko w tonie danej sfery.

Jakież na to lekarstwo? Łączyć się i od najwcześniejszych lat swego życia niech kobieta składa swe składki na „Ognisko Emerytalne”, a wtedy starość jej stanie się szczęśliwie niezależną od wyżej wymienionych okoliczności.

Kobieta samotna zasypiać będzie spokojnie z tem przeświadczeniem, że z chwilą, kiedy ją już energja opuści, by żyć mogła zupełnie samodzielnie, skryje się pod opiekuńcze skrzydła stowarzyszenia i nie będzie dogorywać samotna i opuszczona. Kobieta, mająca rodzinę, również z ulgą wielką myśleć o tem będzie, że swoim najbliższym ciężarem być nie potrzebuje. Że z chęcią uda się do nich w jakiejś ich ciężkiej potrzebie, ale z chwilą, kiedy im potrzebna nie będzie, wróci do siebie, do własnego, swoim staraniem zabezpieczonego kąta. O ile więcej stara matka w wielu wypadkach byłaby ceniona i szanowana, bo wiedzianoby, że wszelkich niezadowoleń i grymasów nie jest zmuszona znosić i każdej chwili od nich uwolnić się może. A zatem zrzeszmy się: wspólnymi siłami wiele dokonać można, niech żadna z kobiet nie powie: „ja tego potrzebować nie będę”, bo nie mamy tej pewności i gwarancji. Masowe zrzeszenie pozwoli nam ograniczyć wysokość składek do minimum, a grosze nasze, obejmujące społeczeństwo kobiece, wkrótce dadzą nam możliwość zrealizowania powziętej myśli. Określenie wysokości składek, wieku możliwości uzyskania książki emerytalnej, mojem zdaniem: od pieluszek, prawo korzystania z emerytury: krytyczny dla kobiety rok 50-ty. Następnie pewna różnica wysokości składek: możnaby zrobić trzy kategorje, te dadzą możliwość pewnego doboru emerytek, skali utrzymania i pomieszczenia ich. Następnie, idąc dalej, dodać można, że takie domy emerytalne mogą być jeszcze ogniskami zrzeszonej pracy kobiecej, mogą się potworzyć wytwórnice tej pracy, odpowiedniej do sił. Przytem każdy taki dom powinien sobie stworzyć swój światek towarzyski i gospodarczy, by dożywające swego wieku pensjonarki czuły się do ostatnich chwil życia jeszcze żywą częścią swego społeczeństwa, od-



powiednio tylko do swego wieku zabezpieczoną. Nad wszystkimi tego rodzaju szczegółami, jak i rozumem zabezpieczeniem napływających kapitałów, utworzeniem odpowiednich zarządów, opracowaniem regulaminów pobytu w Ognisku czuwać powinna bardzo starannie opracowana ustawa.

W celu wprowadzenia w czyn mego projektu, postanowiłam rozpocząć pracę w najbliższym mi środowisku. Udało mi się zainteresować tą sprawą szersze koła społeczeństwa plockiego. Zredagowaliśmy najpierw petycję, opatrzoną setką podpisów, do pani Prezydentowej Mościckiej, petycja nasza została życzliwie przyjęta; akcja nasza uzyskała dostojny patronat Pani Prezydentowej.

Po tym szczęśliwym początku, przystąpiliśmy do redagowania ustawy Emerytalnych Ognisk dla kobiet, która jest już na ukończeniu. Z chwilą jej zatwierdzenia, zwołane zostanie zebranie organizacyjne Towarzystwa.

Chodzi jednak o to, aby akcja ta objąć mogła całe społeczeństwo. To też zwracam się do ogółu kobiet z prośbą o zabranie głosu w tej sprawie. Jeśli myśl moja jest pożyteczna, wierzę, iż znajdzie odzew i pomoc do zrealizowania jej na szerszą skalę. Proszę więc Sz. Panie o wypowiedzenie swej opinii, o pomoc i współdziałanie.

*M. Prażmowska — Plock.*

### **Coś dla nas samych.**

Barwne zwoje gałganków, moc miłych uśmiechów, ciągła troska o powodzenie i podobanie się — to typ i świat przeciętnej kobiety! No, oczywiście świat byłby szary, smutny i nudny bez ozdób i cacek, bez zmiany mody, bez zabaw, flirtu, płoteczek i drobnostek!

Gdy panna wychodzi zamaż, obchodzi ją głównie wyprawa, ładna bielizna, barwne sukienki. Wszystko ogląda i przymierza niestrudzenie i z zapalem, by było do twarzy, by wywarło efekt, nie chodzi tu tylko o przyszłego męża, ale i o rodzinę, przyjaciółki, znajomych. Bardzo to wszystko miłe, urocze i pociągające, zwłaszcza, gdy dodamy do tego ładny, świeży buziak, zgrabną figurkę i nóżki. Ach, nóżki, to troska, główna troska obecnie! Krótkie sukienki wymagają cienkich pończoszek i zgrabnych łydek, umiejętności chodzenia, wysmukłych kształtów!

Nic to, że zima, z mrozem i zawiejami, to bagatelka, gdy się ktoś przeziębii i życiem elegancję przypłaci. Moda, wielmożna pani, na jej ołtarzu i życie złożyć można, a nawet zdrowie przyszłych pokoleń! Bo takie biedactwo, taka niewolnica mody, ma także swoje aspiracje — pragnie wyjść zamaż. Czy ona się wogóle nad tem zastanawia, co to jest być matką?! Czy, wychodząc zamaż, tem się zajmuje? Ją interesuje wyprawa, gałganki i cacka! Zdrowie ma zrujnowane głodzeniem się, ściskaniem piersi i bioder, by nie utyć nad miarę mody; nogi przeziębione i chore, bo wełniane pończochy psują

kształt, pogrubiają nogę, wysokie buciki nie modne. Krótka sukienka nie grzeje, dobrze, gdy ma boty i tylko łydki odmrożone, a stopa jeszcze jako tako wegetuje. Takie biedactwo wychodzi zamaż bez żadnego pojęcia o swych obowiązkach; ot, wychodzi szczęśliwa, że jej się udało, bo to teraz nie łatwo.

Zastanówmy się jednak, kto na tem cierpi, czy tylko ta biedna niewolnica mody i dziecko z niej zrodzone, rachityczne i nędzne? Nie tylko. Cierpi na tem i całe społeczeństwo.

Trzeba nareszcie zrozumieć i przejąć się tem, że kobieta jest główną osią, koło której się wszystko obraca, kobieta tworzy społeczeństwo i kobieta niem kieruje.

Zdawałoby się inaczej: mężczyźni są przecież na dominujących stanowiskach, posiadają ster rządów. Obecnie już zdarza się i zdarzać się będzie coraz częściej, że kobiety zaczną wybijać się na stanowiska adwokatów, sędziów, ministrów. Lecz nie o to idzie, by zająć miejsce mężczyzny w społeczeństwie, bo cóż będą robić mężczyźni, na co nam to, czyż nie mamy ważniejszych i niezastąpionych prac i celów?!

Dopóki kobieta nie zrozumie i nie odczuje swego znaczenia w rozwoju i życiu społeczeństwa, dopóty będzie źle, dopóty kuleć będzie ono na każdym polu. Kobieta kieruje społeczeństwem, będąc szarą i niewidzialną, chodzi o to, by kierowała niem dobrze. Matka wychowuje tak synów, jak i córki. Dobra matka jest źródłem, ostoją i siłą dla dorosłego dziecka, ale by tem być, czem być powinna, jak bardzo dużo musi mieć siły i wartości ducha, jak bardzo dużo rozumu i jak szeroki pogląd na świat i życie.

Otóż w tem leży zło, że za dużo jest w życiu kobiety gałganków, a za mało ducha; kobieta, która co sezon zmienia stroje, co sezon usposobienie i sposób życia, by się urobić na szablon mody i być cackiem dla mężczyzny, zadania tego nie spełni. Czas już, byśmy w skupieniu ducha, z uwagą i poświęceniem szły w życie; czas, by społeczeństwo nasze stanęło na piedestale wielkości, a to od nas zależy.

Przyjrzyjmy się mężczyznom, zaiste, słaby to twór, który bez nas istnieć nie może. Dlaczego to pomieszanie pojęć, dlaczego my uważane jesteśmy za słabe i potrzebujące opieki mężczyzny? Odpowiedź na to jest prosta: Same jesteśmy temu winne, tworząc sobie warunki nie do zniesienia. Najmądrzejszy mężczyzna podlega czarowi kobiety, radzi się jej, słucha i robi tak, jak ona chce, gdy tylko chcieć potrafi. My jesteśmy twórczyniami, oni wykonawcami naszych idei. My dajemy impuls, oni wprowadzają nasze pomysły w życie, lub pod naszym wpływem niszczą wszystko.

Ogromna jest odpowiedzialność kobiety w społeczeństwie, a my tego nie rozumiemy. Tak mało cenimy wagę naszego położenia, tak źle przygotowane jesteśmy do życia, a tylko pragniemy dorównać mężczyźnie, który nie jest niczem innym, jak narzędziem w naszym ręku. Czas, wielki czas, miast dorównywać mężczyźnie, wprowadzić w czyn to, do czego jesteśmy stworzone. Podajmy sobie ręce bez



falszu i zawiści. Roztrząsnijmy nasze sumienia, a zobaczymy, że jest racja w tem, co mówię. Zastanówmy się, do czego prowadzi nasze postępowanie, przyrzujemy się temu, co się dzieje.

Ubiegamy się o mężczyznę, podniecamy w nim erotyzm i same na tem tracimy: stajemy się niewolnicami zastawianych sidła, oburzamy się na prostytutki, a pośrednio przyczyniamy się do niej.

Trudno jest wychować syna tak, by był człowiekiem, ale nie jest to niemożliwe, potrafi to kobieta. Niech więc w siostrze i matce uczy się mężczyzna rozumieć i szanować kobietę. Między matką, a dzieckiem jest nić silnego zespolenia, którą trzeba nawiązać trwale na życie całe; niech syn i córka od pierwszej chwili swego istnienia zwróci się z całym zaufaniem do matki, niech matka nie powierza dziecka nikomu i niech ona, nikt inny, usłyszy z dziecinnych usteczek pytanie: „mamusiu, skąd ja się wziąłem, skąd zwierzątko, kwiatki i drzewa?“. Niech dziecko wie od matki, że go nosiła pod sercem, i nim zaczęło żyć na świecie, już go kochała i myślała o niem, że krwią go własną karmiła, urodziła w bólu i męce; niech policzy noce niespane, niech nauczy się ją czcić za to i kochać.

Niech matka uczy dziecko kochać naturę, śledzić rozwój rośliny, kwiatu i nasienia, niech pokaże mu piękno tam, gdzie ludzie przez dziwne pomieszanie pojęć widzą niezdrową podniechęć; niech dziecko nauczy się szanować siebie, a wtedy raz na zawsze zginie prostytutka, przepadną inne nieporozumienia etyczno-społeczne!

Obecnie stan jest taki, że z wieloma kobietami trudno nawet i mówić o podobnych rzeczach, bo albo mają umysły zaprzątnięte bzdurstwami, albo nie są w stanie tych spraw zrozumieć. Zwracam się jednak do tych, które rozumieją ogrom pracy, leżącej przed nami. Musimy oczyścić ogród niewieści z chwastów, a jest ich wiele. Jedyna rada: zrzeszyć się silnie, szczerze i bezinteresownie, pod hasłem pracy rozsądnej, usilnej i celowej. *A. Kobylecka — Luboml.*

### Jak ja to widzę.

Gdy się siedzi na prowincji w jakiejś cichej osadzie fabrycznej, lub na wsi i gdy, w dodatku, luki, powstałej z braku odczytów, teatru, dobrej książki i kulturalnego towarzystwa, niema czem wypełnić, chwila, w której się otrzymuje z poczty pisma, jest jedną z najmiłszych. Biorę do ręki jedno po drugim.

„Bluszcz“ na ostatku, gdyż należę do kategorii ludzi, lubiących pozostawiać na koniec to, co najlepsze i najmiłsze. „Bluszcz“ jest witany radośnie, jak serdeczny przyjaciel, którego długo trzyma się w powitalnym uścisku i niema ochoty wypuścić go z objęć. Jakże tu się rozstać z przyjacielem, który tyle ma mi zawsze do opowiedzenia! Naprzykład:

„Jak myślisz“, zapytuje, „wojna czy pokój?“. „Jaką pracę winna podjąć Polska (a co za tem idzie i polska kobieta), pokojową, czy też nie?“. Długa rozmowa, dyskutujemy, zwycięża pokój.

„Sprawa reformy szkolnictwa żeńskiego stała

się obecnie przedmiotem poważnych rozważań, co o tem myślisz?“. Mało o tem wiem, więc tylko słucham uważnie.

„W Ameryce powstały kolonje letnie wypoczynkowe dla matek, zmęczonych pracą matki i gospodyni“, słucham, jak bajki o żelaznym wilku i myślę: „że też wszelkie ryzykowne pomysły zawsze pochodzą z Ameryki!“.

„Kobiety dochodzą do wniosku, że obecne warunki życiowe, zmuszające kobiety do pracy zarobkowej narówni z mężczyzną, wymagają t. zw. emancypacji mężczyzn, to jest zmiany wychowania chłopców w tym sensie, aby umieli oni spełniać roboty domowe też narówni z kobietą“. Słusznie.

„Może masz dość tych roztrząsań, przeczytam ci wiersze, nowelę lub może ciekawa jesteś dalszego ciągu powieści?“. Zgadzam się i słucham. Pogawędce mojej z „Bluszczem“ niema końca, bo znów za chwilę dowiaduję się o premierze jakiejś nowej sztuki, której, oczywiście, z powodu odległości, dzielącej mnie od stolicy, nie zobaczę; potem, co zaszło nowego w „świecie kobiecym“, co modne, a co nie; jakie roboty cieszą się teraz powodzeniem; jak je wykonać; jak hodować pieczarki, jak odżywiać chorych i wreszcie, jak przez żołądek trafić do serca mężczyzny i co robić należy, aby mu się zawsze podobać.

Nie dość na tem: przewidujący przyjaciel, wiedząc, jak mi brak kulturalnego towarzystwa, wprowadza mnie do salonu pani „Mównicy“, gdzie dość licznie zgromadzone panie roztrząsają aktualne i ciekawe zagadnienia, zachęcające do wymiany zdań, a co najważniejsze — do myślenia.

Czyż po tem wszystkim, co tu o „Bluszczu“ powiedziałam, mógłby się ktoś dziwić mojej serdecznej dla niego przyjaźni i sympatji?

Ponieważ list mój do „Mównicy“ u wielu czytelniczek może wywołać pytanie: „poco ona to wszystko napisała?“, czuję się w obowiązku dorzucić kilka słów wyjaśnienia. List powyższy został mi poddyktowany potrzebą wypowiedzenia swoich uwag o „Bluszczu“ i wyrażenia mu swego uznania. Często się zdarza, że mało cenimy to, co posiadamy. Warto sobie to uprzytomnić.

Z wielką radością powitałam też „Mównicę“, bo widzę w niej łącznik, który coraz bardziej zbliża do siebie czytelniczki, jak również czytelniczki do Redakcji. Dziś znów głębokim uznaniem witam ankietę „Bluszczu“, zdążającą do przeprowadzenia akcji zorganizowania się gospodarczego kobiet. Zdaję sobie sprawę z ogromu prac, podjętych na niwie życia kobiecego w szczególności, a społecznego wogóle; oceniam wysiłki, zdążające do stworzenia zwartego frontu w walce o prawa i interesy kobiet. W pierwszym liście moim do „Mównicy“ pragnę to moje uznanie podkreślić. *Przyjaciółka „Bluszczu“ — Sochaczew.*

PANI F. Z KAZIMIERZA.

Uprzejmie dziękujemy Sz. Pani za zawiadomienie, że p. I. I. otrzymała już przez pośrednictwo „Mównicy“ poszukiwaną posadę.  
Redakcja.